

ROK 1951

ZESZYT 2 (87)

PORADNIK JEZYKOWY

L U T Y
1951



PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Zatwierdzone pismem Min. Oświaty nr VI Oc-2755/49 z dnia 30 stycznia
1950 r. do użytku szkolnego, jako pożądane w bibliotekach
nauczycielskich.

TREŚĆ NUMERU

1. WITOLD DOROSZEWSKI: Hamulce i bodźce rozwojowe współczesnego językoznawstwa	1
2. STANISŁAW SKORUPKA: Nowy słownik języka polskiego	7
3. JAN TOKARSKI: A ileż to kłopotu.. zé spójnikiem A	12
4. JANINA SIWKOWSKA: Linde o swoim słowniku	17
5. STANISŁAW JODŁOWSKI: „Oszczędzać czegoś“ i „oszczędzać coś“	22
6. JAN KOPCZEWSKI: Norwid — ekwilibrysta słowa	23
7. Z gwary warmińskiej i mazurskiej:	
Dlaczego Gietrzwałd leży między górami	26
Czemu Gietrzwałd jest wsią a nie miastem	26
Bajka o księdzu, kuczerze i królu	27
8. W. D.: Objaśnienia wyrazów i zwrotów	28

Począwszy od stycznia 1951 roku „Poradnik Językowy“ ukazuje się co miesiąc z wyjątkiem lipca i sierpnia. Rocznik składać się będzie z 10 numerów.
Cena numeru bez zmiany (1,80 zł). Prenumerata roczna 16 zł.

PORADNIK JĘZYKOWY

MIESIĘCZNIK

KOMISJI JĘZYKOWEJ TOWARZYSTWA NAUKOWEGO WARSZAWSKIEGO

(założony w r. 1901 przez Romana Zawilińskiego)

HAMULCE I BODŹCE ROZWOJOWE WSPÓŁCZESNEGO JĘZYKOZNAWSTWA¹

W ciągu mniej więcej lat dziesięciu od chwili ponownego uruchomienia po długim okresie nieczynności Uniwersytetu Warszawskiego w roku 1915 istniał w nim wydział filozoficzny, w którego skład wchodził przedstawiciele nauk zarówno przyrodniczych jak humanistycznych. Właściwie nie mieli sobie wzajem wiele do powiedzenia i obrady wydziału musiały trwać długo, bo program obrad obciążały sprawy interesujące tylko część uczestników posiedzeń. Przyrodniczy musieli wysłuchiwać tego, co obchodziło tylko humanistów, i odwrotnie. Nie mogło to wpływać na sprawność funkcjonowania uniwersyteckiego aparatu, ale gdy zaczęły odzywać się głosy domagające się podziału fakultetu (wówczas słyszało się częściej słowo *fakultet* niż dziś) na dwie części: przyrodniczą i humanistyczną, podniosły się protesty. Podział, zdaniem przeciwników tego projektu, byłby sprzeczny z samą istotą uniwersytetu, który jako instytucja reprezentuje wszakże tradycyjną *universitas litterarum*. Tej tradycyjnej, wszechogarniającej jedności rozbijać, jak twierdzono, nie należy, bo byłoby to jednoznaczne z degradowaniem nauki do poziomu specjalizującego się w szczegółowych dziedzinach technicznych rzemiosła.

Na podobnym stanowisku stali właściwie ci historycy filozofii, czy choćby tylko uczeni o zainteresowaniach filozoficznych, którzy uważali za fakt ubolewania godny, że w wieku XIX zarysowały się wyraźnie tendencje do tak zwanej przez niektórych parcelacji filozofii, to znaczy do wciąż postępującego wyodrębniania się z zakresu myśli o świecie, obejmowanego ogólną nazwą filozofii, poszczególnych dyscyplin usamodzielniających się i precyzujących dziedziny własnej problematyki. Proces ten miał jednak, jak się zdaje, charakter nieodwracalny i o ile, widziany pod pewnym kątem, mógł sprawiać wrażenie procesu rozkładu, o tyle z drugiej strony był niewątpliwym objawem precyzowania się, klarowania się teoretycznych założeń poszczególnych dyscyplin naukowych, doskonalenia narzędzi poznawczych stosowanych w każdej z tych dyscyplin. Postęp w nauce polega na odsłanianiu się coraz nowych, coraz lepiej widocznych współzależności nie tylko pomiędzy poszczególnymi faktami, ale także między różnymi dziedzinami życia, na wykrywaniu praw o coraz rozleglejszym zasięgu działania. Tego rodzaju prawa krystalizują się wewnątrz każdej dyscypliny naukowej i fakt ich krystalizowania się w konkretnym doświadczeniu jest rękojmnią, że są one odbiciem stosunków panujących w obiektywnej rzeczywistości, a nie majakiem czyjejs wyobraź-

¹ Artykuł niniejszy napisany został w związku z pracami Podsekcji Językoznawstwa Kongresu Nauki Polskiej.

ni, odpowiadającym połączeniu jakichś wyrazów z jakimiś wyrazami. Dojrzwianie dyscyplin naukowych do teorii odbywające się w drodze eksperymentalnej „od wewnątrz“ w każdej dyscyplinie jest fazą, po której musi nadchodzić ich zbliżanie się do siebie: przed badaczami różnych dziedzin życia stają ostatecznie te same zagadnienia podstawowe, istotne, najważniejsze. Nie należy od „pryncypiów“ zaczynać, ale niedorzecznością byłoby ich ignorowanie, ograniczanie się do zabezpieczonego przed teoretycznym niepokojem opracowywania jakiegoś szczegółowego faktycznego materiału. Że materiał faktyczny jest konieczną podstawą wszelkich tez ogólnych, na to, jako na rzecz zbyt oczywistą, nawet nacisku kłaść nie warto; ale nie można kłaść nacisku tylko na szczegóły faktyczne, nie można robić cnoty naukowej z tkwienia w bezmyślnym przyczynkarstwie (nie znaczy to, że przyczynkarstwo musi być bezmyślne, ale bardzo często bywa). Baudouin de Courtenay przypominał w jednej ze swych prac słowa Hercena: „drobiazgi, drobiazgi należy rozważyć i zrozumieć, a rzeczy wielkie same się nasuwają“. Chodzi o to właśnie, aby fakty drobne „rozważyć i zrozumieć“, bo gdy się je rozważy i zrozumie, to nabierają one ważności, przestają być pyłem nieistotnych szczegółów i znajdują swe umotywowane miejsce w jakichś całościach. Każde rzetelne opracowywanie naukowe szczegółów, gdy się będzie toczyło siłą własnego rozpędu, doprowadzi nieuchronnie do stwierdzeń o charakterze mniej lub bardziej ogólnym. „Il n'y a de science que du général“, pisał Henri Poincaré, a na długo przed nim Bacon: „non est scientia nisi de generalibus, de singularibus non est scientia“. Elementy pojęć ogólnych tkwią w każdym akcie językowym, w najpospolitszych wypowiedziach mowy potocznej (znany przykład Lenina: „Żuczka jest' sobaka“).

Zachowanie ufności co do tego, że poznanie naukowe może nie być bezkierunkową partyzantką, że każda praca naukowa jest drobną częścią ogólnej akcji człowieka przeciwko niewiadomemu, możliwe jest tylko przy zachowaniu pewnego typu postawy myślowej. Możliwe jest mianowicie tylko wówczas, gdy sobie uprzytomnimy, że tłem najogólniejszym każdego faktu jest — życie, całokształt zjawisk życiowych. Życie, które jest jedno zarówno w tym znaczeniu, że wszystko, co się w nim dzieje, jest ze sobą powiązane niemi jakichś współzależności, jak i w tym, że jeden jest tylko plan życia¹, poza który nie ma wyjścia, bo wszelkie wyrwanie się poza ten plan jest rozstawaniem się z rzeczywistością, z tym, co jest. Próby takiego wyrwania się — a do takich prób należy wszelkie rozdawanie rzeczywistości, wszelki dualizm w sposobach jej myślowego ujmowania — nieuchronnie się mszczą i w życiu, i w nauce.

Pozwolę sobie przypomnieć to, co pisałem w pracy pt.: „Le critère fonctionnel et l'évolution phonétique du langage“. („Proceedings of the Third International Congress of Phonetic Sciences“. Ghent 1938; tłumaczę z tekstu francuskiego): „dualizm rozbija się, zdaniem naszym, o trudności nie do pokonania“ (op. cit., str. 300), „filozof, który szuka tego, co jest *n i e z m i e n n e*, który nie uważa, aby było możliwe ugruntowanie nauki, w szczególności nauki o języku, bez opierania jej na jakichś punktach stałych (...) i który wreszcie sądzi, że fonemy są takimi punkta-

¹ Warto przypomnieć prekursorskie słowa Jędrzeja Śniadeckiego: „życie jedno tylko jest w całym ożywionym przyrodzeniu.“

mi stałymi w języku, taki filozof — i każdy podążający za nim językoznawca — sami się skazują na to, że nie zrozumieją ruchu, ewolucji języka“ (ib. str. 303).

W zacytowanych zdaniach chodziło mi o to, że ktokolwiek skłonny jest pojmować język nie jako ludzką czynność społeczno-komunikacyjną, ale jako „zespół idei“, ktokolwiek występuje jako obrońca „idealnego charakteru przedmiotu zwanego językiem“, ten ze świata rzeczy wypada w krainę cieniów, w której myśl nie napotyka ani oporów, ani też punktów oparcia i skazana jest na zupełną jałowość.

Wypowiadanie takich tez nie było wówczas — a nawet i dziś jeszcze nie jest — wyważaniem drzwi otwartych. Autor dzieła pt. „Sprachtheorie“ (Jena 1934; s. XVI + 434), Karl Bühler, oświadczał wprost (s. 58), że stoi na stanowisku „von der Idealität des Gegenstandes Sprache“ i z tego stanowiska rzecz ujmując usiłował dać psychologiczną podbudowę pod koncepcję tych językoznawców, którzy będąc „idealizującymi“ psychologami nie mieli dostatecznie opracowanego aparatu pojęciowego i wkleli się w niejasnościach.

Dualizm ma w językoznawstwie bardzo stare tradycje. Początkiem swym sięgają one jeszcze biblijnej koncepcji stworzenia świata. „Fecit Deus bestias terrae iuxta species suas“, czytamy w księdze „Genesis“, w rozdziale I, w. 39. Gatunki stworzeń są pojęte jako realizacje *idei* gatunkowych. Tę intencję tekstu biblijnego dobrze odczuł jego tłumacz z wieku XV, który zacytowane zdanie przetłumaczył w sposób następujący: „uczynił Bóg zwierzęta ziemskie, każde podług podobieństwa ich“: łacińskiemu terminowi *species* odpowiada w tekście polskim *podobieństwo*, w tym zaś wyrazie tkwi moment znaczeniowy tego, co jest należyte, co *powinno* być¹ (por. starosłowiańskie *podoba* »*decentia*« ros. *podobajet* »*przystoi*«). Stworzenie zwierząt podług ich *podobieństwa* oznacza stworzenie ich podług pewnych idealnych wzorów gatunkowych. Idee gatunków poprzedziły konkretne powstanie tychże gatunków. Idea jest bytem samym w sobie, absolutnym, nieruchomym. W kategoriach idei ujmował fakty językowe Platon (do którego *expressis verbis* nawiązywał Bühler: „die Sprachgebilde sind platonisch gesprochen ideenartige Gegenstände“, l. c., s. 60). Do truizmów w językoznawstwie należy twierdzenie, że językowym koncepcjom starożytnych Greków brakowało pojęcia ewolucji. Od pojęcia idei jako bytu absolutnego nie ma przejścia do pojęcia ewolucji. Dlatego, o ile chodzi o koncepcje biblijne, jest rzeczą charakterystyczną, że zróżnicowanie się języków zostało zinterpretowane jako następstwo wymierzonej ludzom kary boskiej.

Operowanie „ideami“ głosek do dziś jest zjawiskiem pospolitym w pracach poświęconych analizie dźwiękowej strony języka i budowie fonetycznej wyrazów. Pojmowanie głosek jako jakichś intersubiektywnych bytów, przedmiotów, „cegiełek“ dźwiękowych uniemożliwia zrozumienie procesów fonetycznych w ogóle, a w szczególności ewolucji fonetycznej języków. Najbardziej zdawałoby się elementarne, najprostsze zagadnienie

¹ Możliwy był w wyrazie *podobieństwo* i odcień znaczeniowy »właściwej sposobności« czy też wprost »sposobności«, »szansy«, por. u Kochanowskiego: „Próżno w bitwach nie bywamy: Ugodzi nieszczęście wszędzie, Choć podobieństwa nie będzie“. Tren XVII, 16.

językowe, jakim jest zagadnienie głoski, jest punktem węzłowym, w którym się przecinają drogi prowadzące w rozmaitych kierunkach. Tych dróg w gruncie rzeczy nie jest tak wiele: albo się pojmuje głoskę jako pewien przedmiot idealny (saussurowska: „somme de l'unité entendue et de l'unité parlée“), albo jako moment czynności nadawczo-odbiorczej odbywającej się w ośrodku fizycznym, mówiąc elementarnie jako najmniejsze wymówienie-posłyszenie, a więc jako pewną sytuację społeczną (p. W. Doroszewski: Z zagadnień fonetyki ogólnej. „Spraw. T.N.W.“ Wydział I, 1934; t. XVII, s. 49 i nn.). Ujęcie pierwsze jest ujęciem statycznym, czyniącym z głoski jakiś intersubiektywny byt, jakąś substancję, ujęcie drugie — ujęciem dynamiczno-społecznym, jednym ze szczegółowych refleksów ujmowania języka w kategoriach ruchu.

W ścisłym związku historycznym z dualizmem pozostaje kierunek naukowy, który na językoznawstwie końca dziewiętnastego wieku, a w szczególności na językoznawstwie polskim, wycisnął bardzo silne piętno, mianowicie psychologizm. Za podstawową tezę psychologizmu uznać można to, co Hermann Paul sformułował w tak bardzo swego czasu znanej książce „Prinzipien der Sprachgeschichte“ (3 wydanie, z którego cytuję, ukazało się w Halle nakładem M. Niemeyera w r. 1898): „Czynnik psychiczny jest najważniejszym czynnikiem w dziejach kultury. Dokoła niego wszystko się obraca, toteż psychologia stanowi najlepszą podstawę wszelkiej w wyższym sensie pojętej nauki o kulturze“ (s. 6).

Jednym z następstw, do których prowadziła tego rodzaju postawa, było to, że językoznawcy niekiedy utożsamiali fakty językowe z faktami psychicznymi, twierdząc — jak to czynił na przykład Baudouin de Courtenay — że język jest czymś na wskroś psychicznym. W pospolitym używaniu terminu „psychiczny“ tkwiła intencja przeciwstawienia go terminowi „fizjologiczny“. Do zakresu fizjologii zaliczano fonetykę, ale interpretację znaczeniową głosek i wyrazów z fizjologii wylączano przerzucając ją do psychologii. Twierdzono, że „pojęcie wyrazu zgoła nie jest pojęciem należącym do fonetyki“ (Benni). To pozorne pogłębienie i zróżnicowanie badanego przedmiotu w istocie prowadziło do antynomii. Wyraz jest znakiem głosowym pewnej treści: jakże można mówić o funkcjach znaku, jeżeli znak ma być pojęty niematerialnie, jako coś pozostającego poza sferą zmysłowego doświadczenia? „Czysta psychologiczność“ staje się „idealnością“, bezcielesnością, nieuchwytną fikcją. Jest to jeden ze szczegółowych wypadków rozdawania rzeczywistości, które zawsze prowadzi do stanięcia wobec pustki i fikcji. Badania głosowych jakości znaków językowych i badania funkcji tych znaków mają sens tylko wówczas, gdy są prowadzone w najściślejszej łączności i gdy są rozumiane jako poznawanie mechanizmu działania różnych ośrodków systemu nerwowego człowieka. Chodzi tu o typ zagadnienia, któremu wiele wysiłków swego „nieodstępnego dumanija“ poświęcił Pawłow. W pracy pt.: „Jestiestwoznanije i mozg“ (Dzieła wybrane. Wyd. Akad. Nauk ZSRR, 1949, s. 365—374) pisał on, że z chwilą, gdy fizjolog przechodzi od badania niższego działu centralnego systemu nerwowego do działów wyższych, metoda jego naukowego postępowania ulega naglej zmianie. „Dotychczas posługiwał się on ogólnymi pojęciami przyrodniczymi. Teraz zaś zwraca się ku pojęciom całkowicie sobie obcym, nie pozostającym w żadnym stosunku do jego pojęć dawniejszych — ku pojęciom psychologicznym, krótko mówiąc, prze-

skakuje ze świata przestrzennego w świat nieprzestrzenny. Jest to oczywiście krok o niezmiernej doniosłości. Cóż było jego przyczyną? Co za głębokie względy skłoniły fizjologa do uczynienia tego kroku? Jaka walka poglądów poprzedziła ten krok? Na te wszystkie pytania wypada dać zupełnie nieoczekiwaną odpowiedź: przed tym niezwykłym krokiem nie zaszło w nauce absolutnie nic.“ (Op. cit., s. 366). Ów skok ze świata przestrzennego w nieprzestrzenny dokonywany bywa siłą biernie nabytego rozpędu, a nie jest następstwem teoretycznego namysłu, który to namysł musiałby być wyjątkowo gruntowny, aby usprawiedliwić tak radykalną zmianę w metodzie postępowania. Siła dualistycznych koncepcji w językoznawstwie tkwi w inercyjnym przyzwyczajeniu do nich, a to przyzwyczajenie jest bardzo mocno w umysłach wielu badaczy zakorzenione.

Upatrywanie najważniejszej strony faktów językowych w ich psychicznym charakterze jest w istocie zacieśnianiem ich, podstawianiem czegoś, co jest tylko ich ułamkiem, na miejsce całości. Wyjaśni to przykład.

Sygnal dany za pomocą głosu spełnia taką samą funkcję jak sygnal dany za pomocą gestu. Podniesienie ręki może mieć w pewnej sytuacji znaczenie sygnału nakazującego na przykład zatrzymanie się. Czy istota faktu, że ktoś, chcąc komuś dać znać, aby się zatrzymał, podnosi rękę, jest psychiczna? Do sfery psychicznej należy intencja sygnalizującego i jej zrozumienie przez odbiorcę sygnału, ale badacz języka gestów musiałby uwzględnić całość sytuacji, w której określony sygnal mimiczny został nadany i odebrany. Przedmiotem jego badania byłyby określone gesty, fakty dostępne zewnętrznej obserwacji i interpretacji, mające charakter faktów społecznych. To samo dotyczy sygnałów mowy głosowej, których funkcjonowanie, a nie tylko odpowiadające temu funkcjonowaniu fakty przedspołeczne — czyjeś przeżycia, bada językoznawstwo. Skupianie uwagi na przeżyciu jest odwracaniem jej od świata, odrywaniem się od tła życiowego, na którym się fakty językowe odbywają i którym się też tłumaczy.

Zrozumiałe są nadzieje, które wiązał Pawłow z tym, że kiedyś wreszcie „umysł ludzki spojrzy na siebie nie od wewnątrz, lecz od zewnątrz“, bo jest to sposób postawienia sprawy, płynący z przeświadczenia, że jedyną metodą mogącą tłumaczyć fakt szczegółowy jest wydobyć go z izolacji, zrozumienie jego stosunku do innych faktów, w ostatniej instancji — właściwe umieszczenie go na tle całokształtu zjawisk życia, którym rządzą ogólne prawa. To samo w słowach poetyckich wypowiedział Goethe: „według wiecznych, żelaznych, mocnych praw musimy wszyscy przeżywać kręgi swego istnienia“ („Nach ewigen, eisernen, festen Gesetzen müssen wir alle unseres Daseins Kreise vollenden“).

Zrozumienie jedności życia nakłada postulat nieustannego pamiętania o wzajemnym stosunku jego „kręgów“ i o ścisłym związku każdego faktu z określonym miejscem i czasem, z jego tłem historycznym i środowiskowym. W zastosowaniu do językoznawstwa znaczy to, że metoda zestawiania faktów na tle historycznym, czyli metoda historyczno-porównawcza, abstrahując od jej możliwych wypaczeń w poszczególnych wypadkach, oparta jest na słusznym założeniu i stanowi *character indelebilis* naukowego badania języków. Indoeuropejski komparatyzm w jego klasycznej postaci już się przeżył, a przeżył się przede wszystkim w tym stopniu, w jakim wiązał swe konstrukcje z pojęciem języków jako za-

mkniętych „systemów głoskowych“ składających się z idealnych cegiełek-g'osek. Ale że językoznawca musi badane przez siebie fakty porównywać, a porównując je, dbać o ich chronologię, czyli że musi stosować metodę historyczno-porównawczą — to jest teza, która przetrzyma ataki niepoważnej krytyki. Sprawę tę z właściwą sobie jasnością i antydogmatycznością postawił Stalin w swym słynnym artykule „W sprawie marksizmu w językoznawstwie“: „N. J. Marr krzykliwie szkaluje metodę porównawczo-historyczną jako „idealistyczną“. A jednak należy stwierdzić, że metoda porównawczo-historyczna pomimo jej poważnych braków jest lepsza od istotnie idealistycznej czteroelementowej analizy N. J. Marra, albowiem pierwsza metoda pobudza do pracy, do badania języków, druga natomiast pobudza jedynie do tego, aby leżeć na przypiecku i wróżyć z fusów od kawy na temat sławetnych czterech elementów“.

Jednym z naczelných postulatów metody językoznawczej winien być postulat możliwie ścisłej chronologizacji badanych faktów. Ma to szczególne zastosowanie do dziedziny słowotwórstwa. Bardzo często dający się obserwować brak troski o związki historyczne formacji słowotwórczych, dzielenie wyrazów „psychologiczne“ jest jedną z form wypadania z planu konkretnych zjawisk życia językowego w pozaczasową nieokreśloność, w której porównywanie faktów staje się zawodne. Właśnie struktura wyrazów dostarcza nam najpewniejszych, obiektywnych wskazówek dotyczących historii ich kształtowania się. Tych wskazówek nie można nigdy ignorować. Gdziekolwiek mamy do czynienia z przedmiotami mającymi strukturę, tam w analizie funkcji przedmiotu jako całości nie można nie uwzględnić stosunku funkcji całości do funkcji jej składników. Jest to ten postulat, który w badaniach nad czynnościami ośrodków mózgowych Pawłow ujmował jako zasadę strukturalności („strukturalności“), wyjaśniając, że zasada ta wymaga „sytuowania działań siły w przestrzeni, przyporządkowywania dynamiki strukturze“ (l. c., s. 452—453). W zakresie słowotwórstwa z przyporządkowywaniem dynamiki (funkcji wyrazowych) strukturze wiąże się zawsze konieczność uwzględniania zmian nieustannie dokonywających się w strukturze wyrazów z biegiem czasu. Najbardziej powszechnym kierunkiem tych zmian jest zacieranie się wewnętrznych konturów struktur wyrazowych, przekształcanie się struktur w jednolite znaki (co nosi techniczną nazwę leksykalizacji). Gdy używamy wyrazu *bielizna*, to chcemy skierować czyjąś uwagę na przedmiot, o który nam w danej chwili chodzi: że w nazwie, którą się posługujemy, tkwi historycznie pierwiastek znaczeniowy »białości«, to należy do retrospekcji, która jest ważna dla teoretyka, ale nie dla wszystkich robiących z języka użytek praktyczny, życiowy. W praktycznym używaniu wyrazów ich aktualne funkcje życiowe odnoszą nieustannie tryumfy nad retrospekcją. Aktualna potrzeba użycia wyrazu jest zawsze silniejsza od działania hamulców etymologicznych: wspólna funkcja życiowa koszuli białej i koszuli niebieskiej jest ważniejsza od różnicy barwy i dlatego do *bielizny* należy jedna koszula i druga, choć etymologicznie powinna należeć tylko biała.

Nie można w imię wspomnień zwalczać życiowych funkcji wyrazów. *Uniwersytet* — wracając do przykładu, od którego zaczęliśmy niniejsze rozważania — to historycznie *universitas litterarum*, ale odwołanie się do etymologicznej wartości nazwy nie mogło wystarczyć jako środek prze-

ciwdziałający podziałowi fakultetu filozoficznego na część przyrodniczą i humanistyczną, bo ten podział służył sprawniejszemu funkcjonowaniu uniwersytetu jako żywej i życiu służącej instytucji.

Zakres problematyki językoznawczej z jednej strony coraz bardziej się rozszerza, z drugiej — coraz się bardziej precyzuje. Coraz bardziej oczywistą staje się konieczność hierarchizowania wagi zagadnień ze względu na ich stosunek do pewnych zagadnień centralnych, w ostatecznej instancji epistemologicznych, to znaczy dotyczących stosunku człowieka do świata i życia.

Dualizm, psychologizm, ujmowanie świata w kategoriach statycznych „idei“, ahistoryczność metody poznawczej, formułkowy dogmatyzm, fetyszizm wyrazów — są to obciążenia, z którymi nie tylko językoznawstwo musi walczyć.

Przeświadczenie o podstawowej jedności życia, płynący z niego impuls i nakaz badawczy wykrywania wszystkich szczegółowych refleksów tej jedności, dbałość o wszelkie formy związków między faktami, o ich ściśle sytuowanie w przestrzeni i w czasie, o właściwe stosowanie metody historyczno-porównawczej — oto czynniki, których działanie sprzyjać musi i będzie postępowi i coraz nowym osiągnięciom językoznawstwa.

Witold Doroszewski

NOWY SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO

1. *Koncepcja.*

W historii leksykografii polskiej środowisko warszawskie może się poszczycić dwiema wartościowymi i zasadniczymi pozycjami: Słownikiem Lindęgo i Słownikiem Karłowicza-Kryńskiego-Niedźwiedzkiego, nazywanym czasem „warszawskim“. O zaletach i brakach tych słowników pisano wiele i nie tym będziemy się zajmowali. Potrzebę opracowania i wydania nowego słownika, obejmującego całe bogactwo współczesnego słownictwa polskiego, odczuwano już przed wojną i liczyli się z tym postulatem trzej wymienieni autorzy. Dlatego zaraz po wydaniu ostatniego, ósmego tomu tegoż słownika rozpoczęte zostało w Warszawie z subwencji Kasy im. Mianowskiego gromadzenie materiałów do suplementu. Prace te prowadzono intensywnie bezpośrednio przed wojną 1939 r.¹ Gotowy do druku rękopis kartkowy tomu uzupełniającego, liczący przeszło 60 tysięcy haseł, uległ zniszczeniu w czasie powstania warszawskiego. W roku 1946, znów z poparciem Kasy im. Mianowskiego, wznowiono prace nad suplementem. Okazało się jednak, że wydanie suplementu na skutek wyczerpania słownika i małej liczby egzemplarzy byłoby niecelowe. Z inicjatywy Państwowego Instytutu Wydawniczego i przy poparciu Komitetu Ministrów do Spraw Kultury przy Prezydium Rady Ministrów rozpoczęto prace nad wydaniem całości słownika. Powołany przez PIW i zatwierdzony przez Prezydium Rady Ministrów Komitet Redakcyjny, w którego skład weszli przedstawiciele najważniejszych środowisk uniwersyteckich w Polsce,

¹ Por. art. St. Skorupki: „Jak powstaje tom uzupełniający Słownika warszawskiego“. „Poradnik Językowy“, 1936/37, nr 4—5, s. 73.

a mianowicie Warszawy, Krakowa, Łodzi, Poznania i Torunia, z prof. W. Doroszewskim jako redaktorem naczelnym — odbył pierwsze posiedzenie w lipcu 1950 r. Głównym tematem obrad była zasadnicza koncepcja słownika. Właściwie dwie koncepcje. Pierwsza zmierzająca do reedycji Słownika Karłowicza-Kryńskiego z niezbędnymi poprawkami i uzupełnieniami i druga — projektująca opracowanie nowego słownika w nieznaczej tylko mierze opartego na Słowniku Karłowicza-Kryńskiego-Niedźwiedzkiego. Za pierwszą przemawiały względy praktyczne. Brak na rynku pierwszego wydania Słownika. Ogromna potrzeba jakiegokolwiek większego słownika języka polskiego, który by mógł oddawać usługi literatom, dziennikarzom, publicystom, mówcom i wszystkim w ogóle użytkownikom języka polskiego w słowie i piśmie. Powstało jednak pytanie, czy reedycja spełni to zadanie. Słownik K. K. jest właściwie pozycją historyczną. Mimo zakończenia wydania w r. 1927, słownik ten reprezentuje głównie wiek XIX i przełom wieku XIX i XX — materiał więc, który zawiera, jest w głównym swoim zrębie już przestarzały. Tymczasem niemniej pilną potrzebą jest nie tylko rejestrowanie nowych faktów leksykalnych, ale i do pewnego stopnia normowanie dzisiejszej żywołowej i spontanicznej twórczości językowej. Te względy przemawiały za koncepcją drugą, mimo iż techniczne opracowanie nowego słownika, opartego na nowych założeniach jest sprawą dłuższą i trudniejszą. Słuszność tej koncepcji potwierdziła praktyka. Okazało się w próbnej pracy redakcyjnej, iż do nowego słownika niewiele wchodzi materiału z K. K. Podstawą nowego słownika winny być materiały leksykalne zaczerpnięte z nowszej literatury i z języka potocznego. Zdecydowano również, iż uwzględni się w słowniku przede wszystkim prozę artystyczną i nieartystyczną — w mniejszym zaś zakresie poezję. Aby jednak stworzyć pewien podstawowy szkielet haseł zdecydowano już na pierwszym posiedzeniu Komitetu uwzględnić i wyzyskać całkowicie słownictwo wybitnych pisarzy-prozaików XX wieku. W tym celu polecono Redakcji Słownika rozkartkować całkowicie trzy utwory: Dąbrowskiej „Noce i dnie“, Parandowskiego „Niebo w płomieniach“ i Gojawiczyńskiej „Dziewczęta z Nowolipek“. Niezależnie od tego ustalono listę tych pisarzy i utworów, których słownictwo wejdzie do słownika w pewnym tylko wyborze. Zakres słownictwa specjalnego — np. astronomicznego, fizycznego, matematycznego, botanicznego itp. — nie obejmie całego bogactwa terminów z tych dziedzin, gdyż stworzyłyby to ogromną przewagę terminologii specjalnej. Zresztą słownik ogólnopolski nie może zastąpić słowników technicznych. Słownictwo fachowe postanowiono ograniczyć do terminów będących w powszechnym użyciu — spotykanych w podręcznikach szkół podstawowych, w prasie i w pismach popularno-naukowych. Słownictwo podręczników technicznych dla szkół wyższych, jak np. elektrotechniczne, chemiczne itp., nie weszłyby do słownika. Nie wejdą również do słownika gwary. Uwzględni się tylko te wyrazy gwarowe, które wchłonął język ogólnopolski. Pominięte będą również wszystkie wyrazy staropolskie dziś już nie używane i wszystkie nieaktualne dziś użycia wyrazów. Słownik ma być bowiem słownikiem polszczyzny przede wszystkim XX wieku, uwzględniającym jednak słownictwo i autorów wieku XIX (Mickiewicz, Słowacki i inni).

Oprócz ustalenia zasadniczej koncepcji i zakresu słownika przyjęto również pewne wytyczne metodologiczne. Zadaniem Słownika Języka

Polskiego jest rejestracja faktów leksykalnych i słowotwórczych, które w języku zaszły, a nie możliwości formalnych języka. Jeżeli w Słowniku K. K. spotykamy przymiotnik *chłopięcy* — to nie mamy wystarczającego powodu, aby umieścić w nowym słowniku rzeczownik *chłopięcość*, jeśli rzeczownik ten nie będzie poświadczony w jakimś tekście pisanim. Utworzenie takiego rzeczownika jest zawsze możliwe, dopóki jednak ktoś w języku polskim rzeczownika *chłopięcość* nie użył, dopóty nie powinien on stanowić materiału dla słownikarza. Jest to zasada, której nie holdowali twórcy dawnego słownika. Niejednokrotnie dotwarzali oni — zwłaszcza Niedźwiedzki — nowe wyrazy, najczęściej rzeczowniki, do istniejących już podstawowych czasowników lub przymiotników nie poświadczając użycia takich nowotworów cytatami. Oczywiście zasada niekomponowania nowych wyrazów nie może być rygorystycznie traktowana. Obowiązuje ona w zakresie wyrazów rzadkich. Wyrazy pospolite, zwłaszcza w ich użyciach potocznych w języku mówionym, można notować nie powołując się na źródło pisane. W tym wypadku redaktor podaje wyraz lub zwrot na swoją odpowiedzialność z odpowiednią notatką. Nie każdy wyraz i nie każdy jego odcień znaczeniowy jest zaświadczony na piśmie, a szkoda by było ważne pozycje opuszczać tylko dlatego, że nie można ich poprzeć cytatami. Doskonały słownik Troca (XVIII w.) opiera się w głównej mierze na języku mówionym i nie podaje źródeł, a mimo to nie można nie uznać jego dużej wartości naukowej. Drugim ważnym postulatem metodologicznym jest położenie dużego nacisku na frazeologię. Słownik K. K. uwzględniał w znacznej mierze frazeologię pospolitych wyrazów, w wypadkach wyrazów rzadkich — podawał tylko określenie znaczenia. Patrząc na te sprawy od strony użytkownika trzeba wziąć pod uwagę również i ten moment. Dla użytkownika równie ważne jak znaczenie wyrazu są związki tego wyrazu z innymi wyrazami. Gdyby te związki były bogato ilustrowane w słownikach, z pewnością mniej byłoby niewłaściwych połączeń frazeologicznych często spotykanych w różnych czasopismach w rodzaju: *odgrywać znaczenie*, *wyrzucić wzburzenie*, *rezerwuować pracowników* lub *tp.¹ Operowanie wyrazem to sprawa przede wszystkim znajomości jego frazeologii. Krokiem naprzód w dziedzinie metodologii prac słownikowych — a właściwie wyrównaniem kroku wstecz, który wykonali autorzy Sł. K. K., jest przywrócenie ścisłości cytat i dokładności źródeł. Cytaty z wszelkich źródeł pisanych, zwłaszcza z literatury pięknej, nie mogą być zniekształcane, ponadto muszą być dokładnie podane miejsce i utwór, skąd zostały zacytowane. Wymaga tego nie tylko pietyzm dla wybitnych autorów, ale i sumienność pracy naukowej, pracy opartej na faktach, które w każdej chwili można sprawdzić.*

Dokładne instrukcje ustalają sposób zbierania materiałów leksykalnych i ich kontroli.

¹ „Przed wojną kinematografia włoska nie odgrywała żadnego znaczenia.“ („Stolica“, 1948, nr 51, s. 12). „Deputowany »niezależny« z Francji zamorskiej — Senghor przyznał, że deklaracja Trumana wywarła ogromne wzburzenie na świecie.“ („Express Wieczorny“, 1950, nr 333, s. 1). „Spis da odpowiedź na pytanie, jakim rezerwuarem pracowników i z jakim wykształceniem zawodowym w chwili obecnej rozporządzamy.“ („Express Wieczorny“, 1950, nr 324, s. 1).

2. Organizacja i technika pracy.

Aby podolać tak olbrzymiej i skomplikowanej pracy, należało ją odpowiednio zorganizować i planowo wykonywać. Organem wykonawczym Komitetu Redakcyjnego jest Redakcja S'ownika składająca się z różnych grup pracowników naukowych. Grup tych zależnie od etapów pracy jest kilka. Najliczniejszą stanowią w pierwszej fazie — w fazie gromadzenia materiałów — tzw. ekscerptorzy, czyli zbieracze. Zadaniem ich jest wypisywanie wyrazów-haseł na oddzielnych kartkach i ilustrowanie ich dokładnymi i wiernymi cytatami. Praca ta wymaga dobrej znajomości języka i dużego wyczucia wartości stylistycznej wyrazów. Nie każdy cytat bowiem nadaje się do ilustracji hasła. Cytaty niepoprawne pod względem językowym i niezręczne stylistycznie są odrzucane. Zwraca się uwagę na wyrazistość hasła w cytacie. Chodzi o to, aby cytat dobrze ilustrował wyraz hasłowy nie tylko znaczeniowo, ale i frazeologicznie. Na kartce formatu pocztówki umieszcza się z lewej strony u góry wyraz hasłowy wraz z końcówkami fleksyjnymi, z prawej objaśnia się jego znaczenie. Pośrodku przytacza się możliwie pełne zdanie ilustrujące znaczenie wyrazu, przed zdaniem zaś związek frazeologiczny w nawiasie. Na końcu zdania w skrócie: nazwisko autora, tytuł dzieła i stronicę. U dołu kartki etymologię wyrazu, jeżeli wyraz jest obcego pochodzenia, np.:

Hasło	→	Defilada, y, lm. y <i>uroczysty przemarsz, parada</i>	← Definicja
Związek frazeologiczny	→	(Przyjmować defiladę): Na rozległym placu, pomiędzy prowizorycznymi straganami i dokoła drewnianej, na biało-czerwony kolor pomalowanej trybuny, z której zapewne niedawno przyjmowano defiladę, tłoczyły się wojskowe wozy, ogromne ciężarówki i platformy z beczkami benzyny.	← Cytat
		Andrz. P.D. 10	← Źródło
		< Fr. défilade >	← Etymologia

Opracowane w ten sposób kartki idą do kontroli wykonywanej przez kontrolerów haseł. Najważniejszą pracą kontrolera jest sprawdzenie cytatu z tekstem pod względem wierności i ścisłości. Kontroler ocenia również wartość ilustracyjną i stylistyczną cytatu — i w razie wątpliwości — notuje na kartce u dołu swoje uwagi. Jeżeli cytat jest językowo lub stylistycznie zły, odrzuca kartkę. Kartki uznane za przyjęte kontroler włącza do ogólnej kartoteki. Kartoteka stanowi zbiór haseł ułożonych alfabetycznie i przygotowanych do redakcji szpalt. Omówiony etap pracy jest etapem wstępnym, przygotowawczym. Celem jego jest zgromadzenie i przygotowanie materiałów do następnego etapu — redakcyjnego. Redakcja szpalty jest pracą wielce złożoną i żmudną. Wymaga nie tylko wy-

sokich kwalifikacji językowych, ale i rozległej wiedzy, i orientacji w innych dziedzinach nauki i sztuki. Wymaga również wielu czysto technicznych zabiegów przygotowawczych, jak skonfrontowanie przygotowanego przez zbieraczy i kontrolerów materiału hasłowego z istniejącymi słownikami języka polskiego, a przede wszystkim ze Słownikiem K. K., następnie ze słownikami specjalnymi i encyklopediami w celu ustalenia znaczeń specjalnych wyrazu, wymaga wreszcie ustalenia hasła. Układ hasła i dobór materiału ilustrującego znaczenie wyrazu decyduje o przejrzystości hasła. Układ winien uwypuklać całe bogactwo nie tylko znaczeń, ale i połączeń frazeologicznych, winien mieć jednak charakter praktyczny i w sposób przejrzysty informować użytkownika o wartości znaczeniowej i frazeologicznej wyrazów.

Redaktorom w ich pracy pomagają rewidenty szpalt, którzy konfrontują materiał zebrany uprzednio i rozpisany na kartkach ze słownikami i encyklopediami i uzupełniają go materiałem wypisanym ze Słownika K. K. i z innych słowników i encyklopedii.

Redaktorzy szpalt oceniają ostatecznie wartość i przydatność materiału zgromadzonego uprzednio przez zbieraczy z literatury i uzupełnionego przez rewidentów z innych źródeł.

Wątpliwości redaktorów i kwestie sporne powstałe w toku redakcji omawiane są na posiedzeniach Kolegium Redakcyjnego — stanowiącego aktyw Komitetu Redakcyjnego. W skład Kolegium wchodzi redaktorzy szpalt, redaktor naczelny, zastępca i sekretarz Komitetu. Kolegium decyduje również, które hasła i jakie znaczenia wyrazów należy przesłać specjalistom do ustalenia definicji i określenia aktualności hasła w danej dziedzinie.

Następnym etapem pracy jest recenzja szpalt przygotowanych przez redaktorów i akceptowanych przez Kolegium, której dokonują poszczególni członkowie Komitetu Redakcyjnego. Zrecenzowane szpalty wracają do Redakcji i tutaj są, jeśli tego wymagają recenzje, uzupełniane i ostatecznie przygotowywane do druku.

Zjazdy Komitetu Redakcyjnego, planowane co kwartał, mają na celu dyskusowanie i rozstrzyganie wszelkich spraw spornych i zasadniczych dotyczących koncepcji i układu słownika. Do zadań Komitetu należy również czuwanie nad prawidłowością i planowością wszelkich prac związanych z techniką redakcyjną.

Ten pociągły i bardzo ogólny przegląd etapów pracy i zagadnień związanych z poszczególnymi etapami nie wyczerpuje wszystkich trudności i komplikacji prac słownikowych. W miarę przechodzenia na coraz to wyższy etap — powstają coraz nowe, niezmiernie interesujące zagadnienia, które otwierają nowe perspektywy i mogą dostarczać materiału do ubocznych, czysto już naukowych dociekań nie tylko leksykograficznych, ale syntaktycznych, słowotwórczych, semantycznych, frazeologicznych i innych, działając pobudzająco i zapładniając w tak żmudnej i zdawałoby się nudnej pracy słownikowej.

Świadomość tego, że słownik ma służyć szerokim masom użytkowników, zmusza do poszukiwania w każdej kwestii rozwiązań najprostszych, proste zaś rozwiązanie nasuwa się z reguły wówczas, gdy rzecz jest do gruntu przemyślana.

Stanisław Skorupka

A ILEŻ TO KŁOPOTU... ZE SPÓJNIKIEM A

Nie jest możliwa praca nad jakimkolwiek językiem bez szczegółowej inwentaryzacji jego zasobów. Inwentaryzacja ta, jaką stanowią dobre słowniki, ma charakter szczególny, nie przypomina ona bowiem seryjnego wyliczenia przedmiotów, jak to mamy np. w remanencie choćby największego domu towarowego. Jest ona raczej, a przynajmniej być powinna, opisem rozległego i skomplikowanego systemu instalacyjnego, którego każde ogniwo jest ogniwem szczególnym, w swoim rodzaju jedynym i niezależnym, systemu bardziej skomplikowanego w budowie i zastosowaniach detali niż choćby automatyczna centrala telefoniczna czy też wielka elektrownia wraz z ogółem urządzeń, które obsługuje.

Dobry więc słownik jest niejako kartoteką techniczną maszynierii będącej w ruchu i nie może poprzestawać na gołym opisie „magazynowym” zasobów języka, lecz musi być jednocześnie dokumentacją techniczną użyć i zastosowań jego elementów składowych, słowem przydatności komunikacyjnej w stosunkach między ludźmi.

Dokumentacja taka nie jest rzeczą prostą ani łatwą. Trudności jej nie są mniejsze od tych, jakie np. mają inżynierowie przy odtwarzaniu przebiegów technologicznych jakiejś wielkiej fabryki z zakresu produkcji mało im znanego, której archiwum techniczne uległo zniszczeniu, z tą różnicą, że aparatura tej fabryki jest uchwytna, łatwo dostrzegalna, gdy tymczasem przy analizie języka mamy do czynienia z rzeczywistością mało uchwytną, ujawniającą się jedynie w aktach mówienia, nie zawsze dających się odtworzyć na zawołanie, stosunkowo słabo jeszcze zbadaną pod względem teoretycznym.

Za samodzielne elementy słownikowej inwentaryzacji języka uważane są wyrazy. Nawet przy powierzchownym zetknięciu się ze słownikiem rzuca się w oczy ich różnorodność i różnorodność zarówno pod względem ich postaci zewnętrznej i możliwości ekspresyjno-znaczeniowych, jak też w zespołowych konstrukcjach językowych. Są wśród nich nawet takie, gdzie ów charakter łączący jest elementem dominującym.

Do takich należy otwierający słowniki ze względów alfabetycznych niepozorny i mało zdawałoby się efektowny spójnik *a*. Mimo swej skromnej aparycji nastrocza on słownikarzom wiele kłopotów, których korzeni trzeba szukać gdzieś w ogólnych koncepcjach językoznawczych.

Pierwsza trudność — jaki dział wiedzy o języku ma się nim zajmować: słownictwo czy gramatyka?

Rozstrzygnięcie tego zagadnienia zależy od tego, jak pojmujemy te działy, a to znów od ogólnego poglądu na język: czy jest on jakimś luźnym układem izolowanych znaków, czy też zorganizowaną w sposób twórczy aparaturą komunikatywną społeczeństwa. W pierwszym wypadku dominującym członem wiedzy o języku będzie słownik, który wchłonie właściwie gramatykę, w drugim zaś gramatyka tak się rozrośnie, że słownik będzie stanowił raczej indeks do jej poszczególnych działów.

W praktyce w wielu wypadkach dzieje się z tym spójnikiem jak z owym domem, który coraz bardziej zacieka, bo naprawa dachu zależy od instytucji, wiodących spór kompetencyjny. W gramatykach bowiem

dział o spójnikach należy do najskromniejszych, a spójnik *a* nawet w tym „zagęszczeniu“ gramatycznym jest kopciuszkiem. Niewiele też dowiemy się o nim z szeregu istniejących słowników, poza nielicznymi wyjątkami. Praktycznie więc, zamiast sporu kompetencyjnego, należałoby zająć się opracowaniem tego spójnika i ze strony słownikowej, i gramatycznej, choćby nawet wprowadzając momenty współzawodnictwa, jaki dział lepiej to zrobi.

Niezależnie od tego sporu kompetencyjnego, powstaje zagadnienie samego podejścia do jego opracowania. Chodzi tu o rzecz ogólną, czy w języku mamy do czynienia jedynie z elementami znaczącymi, to znaczy bezpośrednio odnoszącymi się do rzeczywistości, której są odpowiednikami, czy także z elementami konstrukcyjnymi, którym bezpośrednio w rzeczywistości nie odpowiada, a które są jedynie wiązaniami czysto technicznymi zdania.

W pierwszej koncepcji zadaniem słownika będzie wyodrębnienie poszczególnych odcieni semantycznych spójnika *a*, w drugiej zaś — wyodrębnienie jego zastosowań w technice zdania, jeżeli go zaliczymy do wspomnianych już elementów wiązaniowych.

Istniejące słowniki próbują stosować bądź koncepcję semantyczną, bądź syntaktyczną, lecz w żadnej nie utrzymują się konsekwentnie.

Trudności utrzymania się w czystej składni formalnej lub w czystej semantyce wynikają z tego, że spójnik *a* do swych funkcji wiążących wnosi pewne zabarwienie semantyczne. Najlepiej odpowiadałby mu układ dwupłaszczyznowy: w jednej płaszczyźnie rozpatrywane byłyby jego wartości semantyczne w poszczególnych przykładach, w drugiej — funkcje strukturalne zdaniowe; jeden i ten sam przykład miałby odsyłać i semantyczne, i syntaktyczne. Ponieważ szpalta słownikowa jest płaska, liniowa, a nie przestrzenna, musi się iść na kompromis, obierając za punkt wyjścia jedno z tych stanowisk, drugie zaś spychając na plan dalszy.

Ale nawet przy takim uproszczeniu sprawa systematyzacji spójnika *a* nie jest łatwa.

Weźmy szereg przykładów:

- „Komu bieda, a ludziom śmiech“ (Przysł.).
- „Bogu świeczka, a diabłu ogarek“ (Przysł.).
- „Ludzi moc, a o człowieka bieda“ (Przysł.).
- „Ja młoda wśród młodzieży, a droga cnoty śliska“ (Mick. I, 63).
- „Konia kują, a żaba nogę podstawia“ (Przysł.).
- „Lecz jak pogodzić braci? Kto weźmie, a kto straci?“ (Mick. I, 69).
- „Jeżeli rozdzielię szczuple wojsko moje, krewnemu nie dam obrony, a jeśli wszyscy pociągniem na boje, jak będą córki i żony?“ (Mick. I, 16).
- „Jednemu szydła gołą, a drugiemu brzytwy nie chcą“ (Przysł.).

Przykłady powyższe są ilustracją podawanego w słownikach znaczenia przeciwstawnego spójnika *a*.

Lecz weźmy inną serię przykładów:

- „Co czerwone, to piękne, a co słodkie, to dobre“ (Przysł.).

„Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci, a pod burką wielkiego coś chowa“ (Mick. I, 229).

„Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu, a chłopci żegnali się“ (Mick. IV, 23).

„Słyszysz to strzelec, błędny krok niesie, błędnymi rzuca oczyma; a wicher szumi po gęstym lesie, woda się burzy i wzdyma“ (Mick. I, 24).

Tu mamy zestawienia zupełnie luźne rzeczy różnych, lecz bynajmniej nie przeciwstawiających się sobie.

I jeszcze inny szereg przykładów:

„Chciwość a ognia przykładając nie zgasisz“ (Przysł.).

„Dwie baby a jedna gęś, gotowy jarmark“ (Przysł.).

„Od złego człowieka odrzynaj pole a uciekaj“ (Przysł.).

„Sośniny stanowią u nas 80 proc. całego obszaru lasów, a sosna wytrzymuje najgorsze siedliska, nie wyłączając wydm“ („Stol.“ 50, 49, s. 11).

„Pies mówił, a wilk słuchał: uchem, gębą, nosem, nie stracił słówka“ (Mick. I, 120).

„Wtem ujrzała młodzieńca i z rąk jej wypadła suknia, a twarz od strachu i dziwu pobladła“ (Mick. IV, 13).

„Od czasu do czasu przylatuje od gór gorące tchnienie, a wprawne ucho dosłyszysz daleki szum wichru, który się szarpie o szczyty“ (Witk. „Przel.“ 276).

„Wiele osad typu wiejskiego przekształcać się będzie w osiedla miejskie, a istniejące miasta rozwiną się w poważne ośrodki przemysłowe“ („Stol.“ 50, 51—52, s. 15).

„Wącha: a z tego zapachu, który mógł być skutkiem strachu, wnosi, że to nieboszczyk i że już nieświeży“ (Mick. I, 344).

„I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi, a z rogów na zrąb i w nogi“ (Mick. I, 353).

„Patrzy, cóż widzi? Pokój cały w wodzie, a Paweł z wędką siedzi na komodzie“ (Fredro: „Pan Jowialski“).

Tu już mamy do czynienia z zespołami treści uzupełniającymi się bądź logicznie, bądź sytuacyjnie.

Czyli mamy tu wachlarz zastosowań spójnika *a* od przeciwstawień do powiązań treści z wszelkimi możliwymi odcieniami pośrednimi.

Co więcej, terminy te nie określają jednoznacznie tych zastosowań.

Weźmy przykład:

„Ona mu z kosza daje maliny, a on jej kwiatki do wianka“ (Mick. I, 19).

Czy tu spójnik *a* przeciwstawia zdania, czy je wiąże w jedną całość uzupełniającą się, czy też zestawia luźnie?

Można ująć rzecz analitycznie i powiedzieć, że przeciwstawia. Bo z jednej strony występuje *on*, z drugiej *ona*, *ona* mu daje *maliny*, a *on* jej *kwiatki*.

Z drugiej strony można potraktować całość syntetycznie i powiedzieć, że oba zdania w danej sytuacji uzupełniają się wzajemnie, że treść ich ujmuje uczucie ogarniające oboje, a wzajemne prezenty malinowo-kwiatowe są jedynie łącznymi przejawami tego uczucia. Spójnik więc *a* miałby tu znaczenie łączące.

Można także równie dobrze potraktować te zdania jako luźne, bo niby co wspólnego ma kosz malin i wianek kwiatów? Itd.

Dlaczego ta różnorodność sposobu ujęcia jest możliwa? Dlatego, że nie należą tu sprecyzowane pojęcia przeciwstawności czy uzupełniania się, zwłaszcza to pierwsze. Nie bardzo wiadomo, czy to przeciwstawienie ma być ujęciem sprzeczności logicznej, jak między twierdzeniem czy przeczeniem, czy przeciwieństw minimalnego i maksymalnego nasilenia jakiejś cechy, czy różnicy ustosunkowań się subiektywnych mówiącego do poszczególnych składników treści, bo i to jest możliwe.

Weźmy prostszy przykład:

„Wydobył papierowe pieniądze i położył na stole między sobą a Marią“ (Goj. „Dz.“ 84).

Rozstrzygnięcie, czy spójnik *a* ma tu znaczenie przeciwstawne, czy łączące, zależy w gruncie rzeczy od tego, czy dany stół wspomniane osoby łączy, czy dzieli, a to znów od tego, czy owej transakcji pieniężnej towarzyszy porozumienie, czy sprzeczka.

Z tych przykładów i z szeregu innych można wyprowadzić jeden tylko logiczny wniosek, że spójnik *a* we współczesnej polszczyźnie żadnych treści nie przeciwstawia ani nie łączy, on je tylko *z b l i ż a* do siebie, *z e s t a w i a* razem, przez co stosunki między nimi nabierają ostrości i uwydatniają elementy łączące lub dzielące poszczególne treści.

Nie spójnik *a* zatem ma tu funkcję przeciwstawną lub łączącą, lecz same treści mają pewne cechy wspólne lub kontrastujące. Spójnik *a* ich nie zabarwia, lecz jako poniekąd przezroczysty, sam się zabarwia stosunkami międzytreściowymi, co wywołuje złudzenie odmienności jego funkcji semantycznych.

Czy to znaczy, że spójnik *a* nie ma żadnych funkcji semantycznych i jest tylko schematycznym wiązaniem syntaktycznym? Nie. Właśnie owa jego funkcja zestawna ma charakter semantyczny, charakter szczególny, stanowiąc jak gdyby wzmocnienie naświetlenia treści, które wiąże, przez co ich kontury oraz światła i cienie zaostrzają się, całość plastyczniej i jej powiązania stają się wyraźniejsze.

Oczywiście, takie *z n a c z e n i e z e s t a w n e* spójnika *a* z trudem się mieści w ramach logizującej składni tradycyjnej, dopatrującej się w spójnikach oznaczeń stosunków logicznych, zachodzących między pojęciami. Zdania ściśle logiczne nie stanowią przewagi w mowie żywej, gdzie narzędzia językowe o charakterze bardziej ekspresywnym niż logicznym grają dużą rolę, sprawiając wiele kłopotów logikom, których to kłopotów nie mają jednak mówiący.

W tym stanie rzeczy łatwiej będzie zdać sprawę ze stosunku *a* spójnikowego do *a* wykrzyknikowego.

Jeżeli zestawimy zdanie:

„Dzisiaj trzeba prawicy, a jutro trzeba praw“ (Mick. I, 105).

ze zdaniem:

„A, Twardowski, witam, bracie“ (Mick. I, 48), to łatwo tu oddzielić funkcję spójnikową ze zdania pierwszego od wykrzyknika zdziwienia ze zdania drugiego.

Ale zestawmy te zdania z takim szeregiem przykładów:

„A dach nadal dziurawy“ (w tytule artykułu „Ż. W.“ 1950, 358, s. 6).

- „A tobie co do tego?“ (pot.).
 „Nie wyszedł. A gdzie jest?“ (K. K.).
 „A to co się ma znaczyć, zdziwiony chłop krzyknął“ (Mick. I, 273).
 „Diabeł za kontusz ułapił: „A gdzie jest nobile verbum?“ (Mick. I, 49).
 „Kto jest młodzieniec? strzelcem był w borze. A kto dziewczyna? ja nie wiem“ (Mick. I, 24).
 „Oh, ja czasami do domu bardzo późno wracam (...) — A cóż pani robi?“ (Perzyń. „Nie“, 23).
 „W dodatku trzeba się domyślać, o co chodzi, tak niezdarnie napisane. A błędów gramatycznych ...“ (Goj. „Dz.“, 75).
 „Na jednym miejscu i grzybowi się sprzykrzy, to go baba w kosz bierze, a cóż dopiero człeku“ (Przysł.).
 „To ty w nagrodę dobrego czynu jeszcze chcesz mnie ukąsić? A ty źmii synu“ (Mick. I, 274).
 „A witajcie, czy zdrowa?“ (Mick. I, 65).
 „A idź do diabła“ (pot.).

Z przykładów tych można ułożyć cały szereg odcieni pośrednich od użycia spójnikowego do wykrzyknikowego.

W tej to funkcji, niejako wzmacniającej poszczególne człony wypowiedzi, owo *a* wywołuje efekt jak gdyby zbliżenia kinowego członu wypowiedzi, do której się odnosi. A różnica między użyciem spójnikowym czy wykrzyknikowym polega właściwie na tym, co jest tym zbliżeniem objęte, jakiś człon wypowiedzi — i wtedy *a* ma charakter partykuły wzmacniającej, lub ich związek — i wtedy ma ono charakter spójnika zestawnego. Usamodzielnione i wsparte odpowiednią intonacją nabiera charakteru wykrzyknika.

Tak by się przedstawiała strona semantyczna spójnika-partykuły-wykrzyknika *a*.

Pozostaje określić jego funkcje strukturalne, wiążące.

(D. n.) *Jan Tokarski*

Przysłowia są cytowane według S. Adalberga „Księgi przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych polskich“. Warszawa 1889—1894.

Przy cytatach z Mickiewicza, branych z wydania „Czytelnika“ r. 1949, po skrócie Mick. podaję tom i stronę tegoż wydania.

Inne skróty: „Stol.“ = „Stolica“, „Ż. W.“ = „Życie Warszawy“, „Szt. Mł.“ = „Sztandar Młodych“, „Tw.“ = „Twórczość“.

Witk. „Przel.“ = S. Witkiewicz, „Na przełęcz“. Biblioteka Polska: Warszawa (bez daty).

Goj. „Dz.“ = P. Gojawiczyńska, „Dziewczęta z Nowolipek“. Warszawa 1936.

M. Dąbr. „N. d.“ = M. Dąbrowska, „Noce i dnie“. Warszawa 1949.

Perz. „Nie“ = W. Perzyński, „Nie było nas, był las“. Warszawa 1931.

Arasz. „Prus“ = F. Araszkiwicz, „Bolesław Prus“. Książnica — Atlas. Wrocław — Warszawa 1948.

Pot. = z mowy potocznej.

LINDE O SWOIM SŁOWNIKU

Wywody Samuela Bogumiła Linde (ta nieodmienna forma nazwiska figuruje na karcie tytułowej Słownika) dotyczące prac jego nad „Dykcjonarzem albo Słownikiem Języka Polskiego“ a zawarte w jego autobiografii oraz we wstępie do Słownika, wygłoszonym na publicznym posiedzeniu Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk w roku 1807 — można podzielić na trzy jak gdyby grupy: a więc na uwagi wstępne, obejmujące charakterystykę ogólną języków słowiańskich, a w tej liczbie polskiego, na rozważania odnoszące się do sposobu ułożenia Dykcjonarza, czerpania ze źródeł, rozłożenia materiału, na uwagi wreszcie „nad tyłą okolo tej roboty mozołami“ (słowa Lindego). Poza tym — także i co do genezy samych zainteresowań językoznawczych autora Słownika, co do bodźców, które go przywiodły do poświęcenia leksykografii najlepszych — jak sam potem powie — lat swego życia, niejedno odnajdujemy w jego autobiografii.

„Sławny teolog Morus, wykładając hermeneutykę, ściągnął na siebie moją uwagę więcej jak gruntowny filolog, niż jak dogmatyk“ — pisze Linde wspominając czasy swoich studiów w Lipsku. „On to szczególnie naprowadził mnie na sposób odróżniania znaczenia pojedynczego słów od znaczenia, czyli sensu, z składu ich wynikającego, który to do sprostowania języków tak ważny sposób w Słowniku moim tam się osobliwie pokazuje, gdzie po położonym przykładzie dodane jest objaśnienie jego treści. Lekcje łacińskie i greckie Krystiana Daniela B e k a, R e i z a, E r n e s t e g o, filozoficzne C e z a r a, P l a t n e r a wprawiły mię w logiczne wyprowadzanie znaczeń jednego z drugiego; historyczne zaś B e k a wzniewały ciekawość tropienia, w kształceniu się języka, śladów postępu cywilizacji; orientalnych języków lekcje, przez D a t h e dawane, prowadziły najwięcej do postrzeżeń etymologicznych i im niejako za zasadę służyły.“

Wspomniany August Wilhelm Ernesti, słynny wydawca klasyków, Lindemu, już mającemu się „oddać orientowi“ — wyjednywa u władz drezdeńskich powierzenie katedry języka i literatury polskiej w uniwersytecie lipskim, a Dathe był tym, którego słowa miały decydujący wpływ na obranie przez Lindego kierunku badań. „Prawda, że mało jest poświęcających się orientalnemu językom — mówił Dathe przyszlęmu twórcy Dykcjonarza Języka Polskiego — i dlatego życzeniem moim było, żebyś się Wc Pan im oddał; lecz daleko mniej jeszcze widzę dbających o Słowiańszczyznę, a nam idzie o to, żeby żadna niwa naukowa nie odlogowała.“

Zachęcony więc przez obydwu profesorów, nie znający dobrze języka polskiego, Linde siedział „nad gramatyką polską M o n e t y wydania V o g l a, nad książką do czytania tegoż V o g l a i nad słownikiem T r o c a (...)“.

„Dla lepszego objęcia T r o c a — pisze Linde — i nabycia z niego potrzebnej ilości wyrazów, rozłożyłem sobie cały jego słownik sposobem etymologicznym. Rękopis ten jeszcze chowam (Linde pisze te słowa w r. 1814, w roku więc ukończenia druku Słownika) — i wielką z niego miałem pomoc kładąc w Słowniku moim po słowach pierwotnych w nocie szereg słów pochodzących.“ Mówiąc o ćwiczeniu się w polskim języku, wspomina także Linde „Powrót posła“ Niemcewicza i „Opis państwa tu-

reckiego“ Mikoszy, które to dwa dzieła przetłumaczył dla wprawy na język niemiecki, poza tym — „Gramatykę narodową“ ks. Kopczyńskiego, „z której — pisze z uniesieniem przysły autor Słownika — całą zadziwiającą budowę języka poznawszy, jak nieograniczonym szacunkiem dla jej autora, tak niepohamowanym zapalem do przyszłych przedsięwzięć czulem się przejętym“. Studiowanie Kopczyńskiego było dla Lindego, według jego wyznania, „po ukończonych akademickich kursach niemieckich, drugim niejako kursem polskim“; obcowanie zaś ze znakomitymi, po roku 1792 na emigracji przebywającymi: Kościuszką, Kollatajem, Niemcewiczem, Ignacym i Stanisławem Potockimi — „tyle się do mojej osoby, wyznaje z wdzięcznością Linde, i kształcenia mojego interesującymi — najwyższą szkołą“. W zaznajamianiu Lindego z językiem polskim i literaturą brał też wtedy udział tłumacz „Iliady“ Franciszek Dmochowski, który ułatwił później autorowi Słownika wydanie pierwszego tomu jego dzieła.

W Warszawie już w roku 1794, nawet w okresie oblężenia miasta, nie zaniedbuje Linde okazji spotkania się z tymi ludźmi, a wśród nich jeszcze i ze świeżo poznanym Kopczyńskim. „Jak dotąd jego pisma, tak teraz częsta z nim rozmowa stała mi się nauką“, oświadcza Linde. Korzystając z bibliotek, dodaje: „byłem w stanie robienia do Słownika wypisów z dzieł bardzo rzadkich i ważnych“. „Po zupełnym usiłowań narodowych upadku (powstanie Kościuszki) robić będzie Linde wypisy do swego dzieła już w Wiedniu, w Bibliotece Ossolińskiego, początkowo skąpo w polskie dzieła wyposażonej, wkrótce jednak dzięki hojności właściciela, przede wszystkim jednak dzięki zabiegliwości samego autora Słownika, szperaniu i wyciąganiu przez niego ze starych klasztorów i opactw licznych za- bytków i białych kruków — znakomicie rozszerzonej.

Tyle co do genezy pierwotnych impulsów i poczynań Lindego w pasjonującej go całej dziedzinie prac leksykograficznych, z których zdaje autor obszerną relację we wstępie do swego Słownika.

Po wprowadzającym w tok wywodów określeniu istoty mowy ludzkiej, „tego — jak powiada Linde — tłumacza wyobrażeń i uczucia człowieka“, przechodzi autor do dość ogólnej charakterystyki języka słowiańskiego, „między językami europejskimi jednego z tych, które najobszerniej się rozciągają“, bo od Kamczatki aż do Elby, a od Morza Bałtyckiego aż po odnogę Adriatycką, jednego przy tym z najbogatszych, rozgałęzionego na wiele gatunków mowy, u których „ślady spółnictwa rodu słowiańskiego, czas choć wszystkożerny, nie potrafił dotąd zatrzeć (...)“.

W obszerniejszym już omówieniu języka polskiego, zajmującego — według określenia Lindego — niepoślednie miejsce wśród dialektów słowiańskich, wskazuje twórca Dykcjonarza na warunki rozwojowe języka narodowego, na użytkowanie go więc powszechne w rządzeniu państwem, należącym niegdyś do najpotężniejszych, na odprawianie w nim obrad publicznych, na posługiwanie się nim stanów, urzędników, królów i uczonych. „Rozważając te okoliczności — pisze Linde — już sądzić wypada, jeszcze go nawet nie znając, że to musi być język bogaty, bo tyle nauk, tyle wyobrażeń obejmujący, język polerowny, bo od osób polorem słynących używany, język do udoskonalenia łatwy, bo wzrosły na wybornym gruncie owej starożytnej Słowiańszczyzny. Atoli nie tajmy tego przed sobą — dodaje — że podobny los spotkał język nasz, co i ziemię naszą, z przyrodzenia tak żyzną; miejscami i czasami oboje poszło w zaniebanie.“

Za najwspanialsze epoki języka polskiego uważa Linde wiek Zygmunta i wiek osiemnasty (działalność Komisji Edukacyjnej), rozgrodzone okresem płodnym w dzieła pisane w języku łacińskim, „przyciemniające“ więc ojczysty. Przechodzi następnie w swoich rozważaniach do stwierdzenia, że ponieważ „znaczne odmiany, zachodzące w rządach krajowych, znacznie też i na język działają, bądź co do wzrostu, bądź co do upadku onego, po dług zachodzących okoliczności mniej lub więcej sprzyjających“ — przysługą pozostanie ukazanie go „w całej obszerności w jedno zebrawszy.“

Znał Linde słowa autora „Gramatyki narodowej“ Kopczyńskiego, że „nikt się prawdziwie tym poszczycić nie może, żeby cały swój umiał język. W jednym narodzie polskim, tyle prawie różnych języków liczyć trzeba, ile w nim jest stanów, kondycyj, profesyj, ile kunsztów i rzemiosł (...)“. „Któż tę całą rozległość wyrazów polskich ogarnął pamięcią?“ — pytał Kopczyński. Linde zaś jeszcze wiedział i to, „że gdyby też nawet kto i znał wszystkie szczegóły języka w rozlicznych gatunkach potrzeb i sposobu życia, nie będzie ich sobie tam przypominał, gdzie które wyluszczać wypadnie; a zatem — dodaje autor — wprzód potrzeba zbierać zapasy, a potem samo dzieło układać“.

Zapasy zaś owe zbierał skrupulatnie twórca Słownika na „dwoistej“, jak powiada, niwie, a więc z pism i z mowy potocznej, z niwy więc pierwszej, uprawniejszej i pielęgnowanej, drugiej za to — obszerniejszej.

Zabrawszy się więc najpierw do czytania dzieł narodowych (do mowy potocznej odwoływał się Linde tylko — jak mówi — „w takim przypadku, gdy w pismach czego nie znalazł“) chciał autor postępować w doborze książek według ułożonego z góry planu, co się jednak nie powiodło ze względu na skromne początkowo zapasy biblioteczne; „trzeba było — pisze Linde we wstępie do Słownika — sześciokrotnie wszystkie prawie znaczniejsze biblioteki po Galicji aż do granicy wołoskiej zwiedzić. Biblioteka J. W. Hrabiego Ossolińskiego w Wiedniu, wtedy gdy mi dozór jej powierzono, nie była tym, czym się pokazała, gdym się z nią rozstawał.“ Jak zaś ją Linde stawiał na nogi, jakie więc zapasy do niej sprowadził, w jaki sposób je zdobywał, świadczą jego listy pisane do Ossolińskiego z owych mozolnie odprawianych podróży. „Pyłem kilkowiekowym okurzone księgi — pisze o stanie współczesnych Lindemu prowincjonalnych bibliotek, w przedmowie do drugiego wydania Słownika Lindego (przez Ossolineum) August Bielowski — nie nęciły do siebie nikogo ze swoich, a lenistwo lub obawa zawstydzienia zasłaniały je, jak tarczą siedmiokrotną, najrozmaitszymi pozorami przed ciekawym okiem obcych natrętów. Bibliografowie więc i bibliofile wieku zeszłego znaleźli się pod tym względem w osobliwszym położeniu. Z jednej strony instynkt jakiś przemawiał silnie do ich duszy, że czas już ostatni, aby ratować te szczątki naukowej przeszłości naszej od zagłady i wydobywać na jaw wszelką naukę, jaka się w nich ukrywała, z drugiej strony nie chciano zgola rozumieć tej potrzeby i na niezaprzeczalnym prawie własności polegając, stawiano częstokroć opór nieprzełamany wszelkim tego rodzaju poszukiwaniom. To dało przeciwnikom pochop do podniesienia zasady, na którą trudno dziś zgodzić się, że cel uświęca środki, a która, ile się zdaje, była powszechnym przekonaniem bibliografów i bibliofilów wieku zeszłego. Nadużycia tego rodzaju — dodaje Bielowski — wiążą się poniekąd z najzasłużeńszymi z owej epoki imionami. Wiadomo, co w tym względzie

rozwspiadają o czcigodnym Tadeuszu Czackim.“ O Lindem zaś pisze Bielowski: „Ostateczności w nabywaniu ksiąg używał tam tylko, gdzie żadne inne środki nie pomagały. W takim razie nie brakło mu przebiegłości i dowcipu (...)“.

Co więc i ile Linde według własnego określenia „zemknął“, a co wziął na rewers, „którego naturę Panu ustnie wytłumaczę“, jak pisał dwuznacznie Ossolińskiemu, a „już w to potrafię, że rewers nam będzie dogodny“ — widać zarówno z listu donoszącego o zdobywcy np. koprzywnickiej, pisanego w Sandomierzu 12 lipca 1799 roku, gdzie jeszcze i zapowiedź: „Jutro muszę być zdrow, bo jutro zacząć się robotą sandomierską, a tu będę miał wielkie pole (...)“ — jak i z listu drugiego z Sandomierza, z dnia 20 lipca tegoż roku, gdzie donosi o „przetrażnięciu czterech tutejszych składów ksiąg“. „Połów sandomierski nieliczny, wyznaje Linde Ossolińskiemu, ale Pan sam uznasz, że ważny. Jest w moich rękach... więc między innymi (a pozycyj fura) i Ursiniego „Gramatyka łacińsko-polska“ (mnie niezmiernie potrzebna, tylko pożałuj się Boże, że defektowa), i Rejowa „Postylla“ (choć trochę nagniła), i Psalterz Wróbla pierwszej edycji, i Słomkowicza „Gramatyka hebrajska“ i Gaspra Twardowskiego wiersz na śmierć Konstancji, Strykowski „Goniec cnoty“ — paradny wiersz — są też (Zaręby) „Okulary na rozchody Rzplitej 1623“, „Okulary wtóre na ciemne oczy ministrów...“, „Dysputacja, którą miał Luter z dyablem 1605“, „Łzy świeżosmutne Podola utrapionego 1618.“

„Na Woli będąc — donosi Linde w liście datowanym w Nowym Mieście Korczynie, 5 sierpnia 1799 —łożyłem jeden dzień na splądrowanie pocztowego Kuczkowskiego (...) Niech się szambelanisko żali na moją niedyskrecję, ja jej nie znam, gdzie idzie o kochaną naszą biblioteczkę.“ Więc znowu i Otwinowski znalazł się w drelichowych tobołach „nigdy nie ustającego pracownika“ (tak się podpisywał w owych listach Linde), i pierwszy, i trzeci tom „Rytmów“ wydania Załuskiego („mnie się zdaje, że drugi tom mamy“, uspokaja siebie i Ossolińskiego Linde). „Od starosty Popiela Minasowicza „Rytmów“ wydrwić nie udało mi się dotąd, ale w Bogu nadzieja.“ W Radomyślu, w kościółku, znalazł Linde historię zburzenia Jezrozolimy, wypis z Flawiusza Józefa Żydowina, a w Stobnicy u reformatorów — jak widać ze spisu podanego w liście — „zdarzyło się“ (określenie Lindego) też nie najgorzej, choć z Miscellaneami trudniej poszło i aż do prowincjała, do Krakowa, trzeba było pisać „który jeżeli pozwoli, pożyczka ta i rewersa tak nam pójdą, jak owa Zatorska“, cieszy się już z góry Linde, a utrudzony wzdycha: „Pan by nie uwierzył, jak ciężkie są negocjacje z mnichami, trzeba więcej niż ministrowskiej głowy, aby cokolwiek wskórać.“ I zaraz po użalinach, ulgę przynoszących, pedantyczny biblioman donosi: „W Stobnicy u fary wziąłem (...)“ (pierwotnie Linde położył słowo „nabyłem“, ale z rzetelności „przemazał“ je na „wziąłem“).

Słał więc Linde listy do swego Mecenasa jeszcze i z Klimontowa, z Wiśniowa, Bogoryi, Trzęsówki, Radomyśla, strach go jednak ogarnął, gdy za długo nie widać było listu od Ossolińskiego. „(...) Wstrzymałem przez czas niejaki moje zgłoszenia dalsze — pisał Linde z Krakowa 25 sierpnia 1799 r. — obawiając się, że lichy jakieś wplątało się w naszą korespondencję.“ Uspokojony więc, że listy nie wpadły w ręce niepowołane

donosił znowu Linde o swoich „bukinistowskich“ sprawkach. „Wstępowanie moje z Nowego Miasta do starostwa Morsztynów na nic się nie przydało; samego nie zastałem, sama poszła coś na Margrabinią, zbyła mię tym, że żadnych ksiązek w naszym guście, który pretenduje znać doskonale, nie ma. W Opatowcu z dominikanami i z kanonikiem mogłem, com chciał, dokazać, ale nie było co wziąć... Z Opatowca poleciałem do Pińczowa, ale biada! miałem nieszczęście nie zastać Cynka, a żona jego wcale się nie umiała znaleźć ani w osobie mojej szwedzko- (Linde był pochodzenia szwedzkiego) *niemiecko-polskiej*, ni w interesie tak górnouczonym.“ W Krakowie „praca była wielka u franciszkanów (od których czegom jeno chciał, *porządnie i sumiennie* — słowa te Linde podkreśla — nabył) i u »bożociałków«, z którymi jeszcze nie mogłem trafić do ugody; lecz Bóg i Trzebiński, nadzieja moja; zwłaszcza gdy i od nich łupy się już moim sposobem zdarzyły niezmierne. Walny też był połów w Chebdowie u norbertanów, zwłaszcza co do Fragmentów czyli Miscelaneów in quarto (...).“ Na Kalwarii jednak, u bernardynów, nie powiodło się zanadto, „bo tam, pisze Linde, ni perswazje, ni pieniądze, ani zamiany, ani rewersa, ani pogróżki nic nie pomogą; chyba ich za łeb wziąć trzeba; a mnichy tłuste i spaśne, a ja chudy (...). Cudem przecież mi się udało smykać: Łukasza Górnickiego „Rozmowę złodzieja z czartem“ in quarto (...) i jeszcze trzy insze kawałki (...), których nie mając na dorędziu, bom je u Iżyckiego zakopał dla bezpieczeństwa, nie opiszę, za to zaś położę tu Panu rejestr najciekawszych łupów krakowskich i chebdowskich, jak mi co w rękę wpadnie, bo skąd i jak co przyszło, czy *per fas* czy *nefas*, sam już nie pamiętam, a będzie tego ze dwie paki nieszeptne.“

Tak to powiększał Linde bibliotekę Ossolińskiego (sam nigdy książek nie zbierał) — sobie jednocześnie gromadząc materiały do słownika. „Miałem — mówi Linde w swej autobiografii — co czytać, miałem skąd robić wyciągi; czytałem w drodze, na popasach, na noclegach; a gdy niewygoda nie pozwoliła zaraz wypisać, znaczyłem przynajmniej, co osądziłem za potrzebne do mojego celu. Zachęcał mię do tego zacny Ossoliński własnym przykładem (Słownik dedykował Linde Ossolińskiemu i Czartoryskiemu), dzieląc ze mną tak czytanie jak i wypisywanie.“ Ossoliński więc, z którym odbywał Linde długie narady nad tym, „jakim sposobem (słowa Lindego) który wyraz, osobliwie wieloznaczny w cieniowaniach jego uszykować, jak jedno znaczenie z drugiego logiczno-historycznie wyprowadzić, jednym słowem, jaki skład dać całej robocie“. Poza tym żył Linde, jak sam powiada, „w stolicy rzeszy Niemieckiej jak wśród Polski, bo prawie z samymi ziomkami“, nawiązał też stosunki w Wiedniu z przedstawicielami Słowiańszczyzny takimi, jak Engel, Złobicki, Dolinar, Herbic, Durich, Dobrovský. „Postępowałem tedy w pracy — pisze Linde — a to już w obszerniejszym ogólnej Słowiańszczyzny zakresie, zachęcony częścią odezwą Towarzystwa Przyjaciół Nauk wtedy w Warszawie się zawiązującego, i w samych swoich zawiązkach mnie za czynnego członka do grona swego przybierającego, częścią odezwami różnych pobratymców słowiańskich (...).“ Pobyt w Wiedniu nazywa Linde trzecim swoim kursem naukowym, polsko-słowiańskim. W roku 1803 opuszcza Linde Wiedeń, wezwany do Warszawy w celu urzędzenia Liceum, którego będzie również przez długie lata dyrektorem.

(D. n.)

„OSZCZĘDZAĆ CZEGOŚ” I „OSZCZĘDZAĆ COŚ”

W notatce zamieszczonej w „Poradniku Językowym” (r. 1950, nr 4, s. 30) p. Nalepińska zajmuje się składnią czasownika *oszczędzać*. Konkluzja, jaką kończy swe uwagi, jest słuszna; istotnie powinno się mówić: „oszczędzaj wody, gazu, światła, prądu”. Natomiast nie można się zgodzić z aprobowaniem przez autorkę tej samej składni w wyrażeniu: „oszczędzaj głosu”.

Sprawy nie można rozstrzygnąć jednostronnie; czasownik *oszczędzać* ma dwojaką składnię, zgodnie ze swym dwojakim znaczeniem. Możliwość stosowania dopełniacza lub biernika w zależności od znaczenia, w jakim jest użyty czasownik *oszczędzać*, stwierdziła już w r. 1932 redakcja „Poradnika Językowego” (s. 122), jednak materiał tam przytoczony jest skąpy i jego przydział oraz interpretacja niezupełnie zadowolają. Także Szober w „Słowniku ortoepicznym”, na który się p. Nalepińska powołuje, przyjmował dwojaką składnię czasownika *oszczędzać*, zależną od dwojakiego znaczenia tego czasownika, choć znaczenia te tłumaczył bardzo niejasno i przykładami ilustrował niewystarczająco. Warto zatem zagadnienie pogłębić.

Wśród różnych odcieni znaczeniowych wyrazu *oszczędzać* interesują nas tu dwa:

1) *oszczędzać* = zużywać w małych ilościach, zmniejszać w miarę możliwości ubywanie (odpowiedniki gwarowe: *oszczędzać* lub *szparować*, np.: szparować mąkę, sól, naftę, siarniczki=zapałki)¹ — niemieckie *sparen*, np.: den Honig spart er, der Zucker ist dabei nicht gespart, das Brot sparen, die Butter sparen, der Landwirt sparet das Heu²; rosyjskie *ekonomit'*; np.: ekonomit' topliwo, dieńgi, swoi sily, wriemia³;

2) *oszczędzać* = ochraniać, nie niszczyć, szanować (synonim literacki: *szanować*, odpowiedniki gwarowe: *oszczędzać* lub *szanować*⁴; np.: szanować ubranie, książki); niemieckie *schonen*; np.: die Gesundheit, die Augen, ein Kleid, Bäume schonen, schone deine Pferde, schone meine Lunge⁵; rosyjskie *bieriecz'* w takim zastosowaniu, jak np.: bieriecz' cennogo rabotnika, bieriecz' zdorowije, on bieriog každyju kopiejku⁶, bogatyj rożu bierieżot, a biednyj odiożu (w drakie)⁷.

Znaczenie pierwsze stosuje się do materiałów takich, jak woda, drzewo, węgiel, gaz, zapałki, papier, sznurek, smary, paliwo, tłuszcz, mąka, sól; rodzajów energii, takich, jak prąd, światło; wartości takich,

¹ Z terenu między Sanokiem a Brzozowem.

² Grimm J. u. Grimm W.: Deutsches Wörterbuch. Zehnten Bandes erste Abteilung. Leipzig 1905; s. 1929—1932.

³ Tolkowyj słowar' russkogo jazyka pod red. D. N. Uszakowa. T. IV. Moskwa 1940.

⁴ Karłowicz J.: Słownik gwar polskich. Tom piąty. Kraków 1907; s. 282.

⁵ Grimm J. u. Grimm W.: Deutsches Wörterbuch. Neunter Band. Leipzig 1899; s. 1499—1500.

⁶ Tolkowyj słowar' russkogo jazyka pod red. D. N. Uszakowa. T. I. Moskwa 1935.

⁷ Tolkowyj słowar' žiwogo wielkorusskogo jazyka W. Dala Trietje... izd. T. pierwszy. S-Pietierburg-Moskwa 1903.

jak czas, miejsce. Materiały te czy energię zużywa się partiami i w miarę zużycia ubywa ich; w całości się nie zachowują, stąd też ich oszczędność jest częściowa. Stan ten odbija się w składni, tj. w stosowaniu tzw. dopełniacza „częstkowego“. Nonsensem byłoby mówić: „oszczędzaj prąd“, bo i przy największej oszczędności będzie go ubywać; w całości się nie zachowa. Stąd w tym zastosowaniu utarła się składnia: „oszczędzaj wody, drzewa, węgla, opalu, gazu, zapalek, prądu, światła, papieru, sznurka, kleju, smarów, paliwa, tłuszczu, mąki, soli, miejsca, czasu itd.“

Drugie znaczenie stosuje się do przedmiotów lub wartości, które mają być otoczone troską jako całość, a więc np. do maszyny, motoru, aparatu, ubrania, oczu, wzroku, zdrowia, a także głosu. Aparatu, motoru itd. nie ubywa częściowo; mimo używania istnieje nadal jako całość i jako całość ma być delikatnie używany, szanowany, ochraniający. Stąd też naturalna jest tu składnia biernikowa: „oszczędzaj (= szanuj) maszynę, motor, aparat, ubranie, oczy, wzrok, zdrowie, głos“.

Wątpliwości i wahania mogą występować jedynie w związku z takimi wartościami, jak np. siły i — co ciekawsze — buciki. Tu wahamy się w składni; pochodzi to zaś stąd, że nie jesteśmy zdecydowani w ocenie samego charakteru „oszczędności“: czy oszczędza się wartość częściowo, czy jako całość. Siły skłonni bylibyśmy traktować na równi ze zdrowiem czy wzrokiem; jednak analogia ta nie jest zdecydowana: zdrowie czy wzrok można utrzymać w pełni wartości, siły natomiast się zużywają (że się je przez odżywianie uzupełnia, to w danej chwili nie jest brane pod uwagę). Świadomość tego stanu wywołuje tendencję do stosowania składni: „oszczędzaj sił“, choć nie wykluczamy możliwości powiedzenia: „oszczędzaj swe siły“. Podobnie jest z bucikami: w przeciwieństwie do ubrania niszczą się w sposób widoczniejszy i finansowo bardziej odczuwalny, domagając się częstszych reperacji; stąd też usprawiedliwiona może być składnia: „oszczędzaj bucików“ obok konstrukcji: „oszczędzaj buciki“.

Na tym tle można też poddać rewizji wyłączność konstrukcji biernikowej w zwrocie *oszczędzać wojsko*, który Szober przytacza za „Poradnikiem Językowym“ z r. 1932. Konstrukcja taka jest właściwa, gdy się ma na myśli wojsko jako całość: gdy idzie o to, aby wojska nie nadużywać, nie przeciążać go, nie forsować. Jednak w sytuacji, gdy wojsko przestaje istnieć jako całość, gdy na froncie ginie masowo, gdy go wyraźnie ubywa, można powiedzieć: „wódz postanawia oszczędzać wojska“.

St. Jodłowski

NORWID — EKWILIBRYSTA SŁOWA

Lektura Norwida, częściej niż lektura poezji czy prozy innych autorów, skłania czytelnika do postawienia sobie pytania: czy rzeczywiście tylko w ten sposób autor mógł wyrazić treść, którą niosą w sobie zespoły w wyszukany niejednokrotnie sposób zestawionych słów? Pytanie to nasywa się nie tylko zwyktemu czytelnikowi pragnącemu zrozumieć utwór bezpośrednio, bez uciekania się do komentarzy i hipotez, ale i komentatorowi poszukującemu jakiegoś niezawodnego klucza do rozszyfrowania tej treści, której wyrazy — narzędzia społecznego porozumienia — nabierają w indywidualnym języku autora.

Sprawy językowe, podobnie jak i każdy inny dział wiedzy o dziele literackim, nie mogą być polem do snucia wolnych skojarzeń. Osobiste odczucia, intuicja nie wystarczą do sformułowania przekonywającego sądu.

Za taki przekonywający sąd trudno uważać na przykład następującą wypowiedź jednego z wielbicieli Norwida:

„Słowo Norwida jest jak odpowiedź wieków na pytanie trafunku. Jest ono omszone, poważne i nieprzewidziane (...). Nie dziwcie się, że słowo Norwida jest tak ociężałe; każdy ruch jest tu jak śmierć. By coś rzec, trzeba w czymś umrzeć; by coś ujrzeć, trzeba pożegnać. Słowa padają z trudem, ach, bo każde szczątkiem jest jakiegoś posągu, kamieniem powały, złamkiem płaskorzeźby“.

O tym, w jaki sposób Norwid kształtował swój język poetycki, mówią najlepiej przykłady.

Ulubionym polem działalności nowatorsko-językowej Norwida jest tworzenie neologizmów. Za specjalny rodzaj neologizmów uważać można sztuczne łączenie (za pomocą myślników) poszczególnych wyrazów w jedno wyrażenie; np. w zdaniu „ojczyzna jest to wielki-zbiorowy-obowiązek“ Norwid łączy grupę orzecznikową „wielki-zbiorowy-obowiązek“ myślnikami, tworząc z tego jakby oddzielne, zamknięte pojęcie. Jest zjawiskiem częstym tworzenie z kilku wyrazów jednego pojęcia. Chociażby przy tworzeniu imion własnych, jak np. Związek Młodzieży Polskiej. Wprawdzie wyrażenie: Związek Młodzieży Polskiej składa się wciąż z trzech oddzielnych wyrazów, ale w częstym użyciu oddzielny sens każdego z tych wyrazów „ściera się“. Następuje swego rodzaju leksykalizacja całego zwrotu, z czasem dojdzie pewnie do tego, że powszechnie będzie się stosować nazwę jednowyrazową, skróconą: „Zetempe“, tak jak np.: „Pezetpeer“. W ten sposób otrzymuje się wyrażenie, któremu odpowiada jeden desygnat, a nie kilka. W wypadku Norwida sztuczne ściąganie trzech określeń w jedno: „wielki-zbiorowy-obowiązek“ — jest jakby propozycją swego rodzaju leksykalizacji całego wyrażenia. Możliwe, że Norwid sam już odczuwał ten wyraz jako jedność. W każdym razie dla czytelnika jest to zabieg nowy i niespodziewany. Nowatorstwo językowe nie jest tu uzasadnione koniecznością, a efekt osiągnięty znikomy.

Jedno by tu można jeszcze dodać, a mianowicie, że zbyt pośpieszna tendencja do tworzenia wyrazów, które łączą w sobie treść kilku innych — przed „zalegalizowaniem“ całości w społecznym użyciu — utrudnia zrozumienie. Inaczej rzecz się przedstawia np. ze złożeniem, które powoli przeszło przez poszczególne stadia leksykalizacji nie zatracając zrozumiałości. A więc np.: *żelazo-beton*, *żelbeton*, aż w końcu *żelbet*. Pewne jest, że gdyby Norwid napisał nagle: ojczyzna to *wiel-zbior-ob*, komentatorowie jego dzieł mieliby duży kłopot...

Zacytowany przykład jest jednym z mniej udanych, sztucznych i bezcelowych neologizmów Norwida. Pojawiają się jednak i inne tego samego typu złożenia, które brzmią zupełnie przejrzyście, choćby: *raz-do-roczny*. Dalej jednak trafiamy na *wszech-samstwo*, które, jako żywo, nie od *samca*, lecz od słowa „sam“ się wywodzi, a znów *różno-liczny* nie z *liczebnością*, lecz z *licami* ma coś wspólnego.

Już wyliczenie tych kilku neologizmów musi budzić niepokój i wątpliwości. Czy w wielu wypadkach nie jest to po prostu maniera i nieliczenie

się z czytelnikiem, którego stawia się w sytuacji przymusowej: jakoś trzeba zrozumieć. A nie każdy trafi na dobrą interpretację takich słów, jak: *bez-tory* świata, *nie-cnota* blasku, *do-kwit*, *pojawisko*, *poza-jawa*, *psalmić* (od *psalm*), *symbolicznieć*, *paragrafić*, *bezmiernić*, *rozbratnienie*, *odniechcienia*, *umiejętnik*, *umnictwo* itp.

Jeszcze dobitniej zaświadczy o manierystycznym tworzeniu nowotworów językowych wyraz *skazo-drogi*, który jest przez Norwida, niewiedomo dlaczego, używamy wymiennie z wyrazem powszechnie wówczas używanym *drogowskaz*.

Może jednak zbyt pochopne byłoby całkowite odmawianie sensu tego rodzaju pomysłom językowym, jak ostatnio cytowany, jeśli się zważy, że Norwid niejednokrotnie dla ożywienia i wzbogacenia słowa odwołuje się do jego wartości etymologicznej. I niejednokrotnie osiąga efekty ciekawe i zrozumiałe, kiedy na przykład powiada: „do *niemowlęctwa* wracam“ zamiast „*milknę*“; „*zwariowany*“ = odmienny (od *varius* — rozmaity); „mieć z czymś *radykałny* związek“ = związek genetyczno-organiczny (od *radix* — korzeń). Tego rodzaju zastosowania wyrazów wydobywają ze zleksykalizowanego wyrazu nową, choć tkwiącą w nim, treść. Rozumienie tak użytych słów sprawia trudność, ale po wykryciu tropu, którym posuwa się autor w odwoływaniu się do etymologii wyrazów — można mieć pewność, że rozumie się, o co chodzi. Gorzej, gdy Norwida poniesie jego swoisty system etymologizowania. Nawiązany kontakt rwie się, o ile oczywiście pozostałe człony kontekstu nie wskażą, jaką drogą poszedł autor w etymologicznym odświeżaniu znaczeń wyrazów. Dla przykładu wystarczy tu przypomnieć zrekonstruowany „dowód“ Norwida na to, że zdanie „*mysz zjadł Popiela*“ znaczy tyle co »Nortmanowie zwyciężyli Popiela«: *mysz* po łacinie jest *mus*. *Mus* ma związek ze słowem *musować*. *Musować* = pienie się. Zatem *mus* = ten, który zapienia morze. Morze zapienili piraci; ówczesnymi piratami byli Nortmanowie. Ostatecznie więc „Nortmanowie (= Normanowie) zwyciężyli Popiela“.

Jak dotąd, w podanych przykładach mowa była o poszczególnych, jednorazowych użyciach wyrazów i o ewentualnej ich celowości (a więc i zrozumiałości). Sprawa się skomplikuje bardziej, gdy spróbujemy zestawić, podsumować pojedyncze użycia któregoś z „elastyczniej“ rozumianych przez Norwida wyrazów, żeby móc ustalić, jakie ogólne, a nie jednorazowe znaczenie przypisuje Norwid np. pojęciu *Ojczyzna*, już nie mówiąc o takich typowo norwidowskich pojęciach, jak choćby „*bia'e kwiaty*“. Okaże się, że definicji, która by pogodziła w sobie wszystkie użycia tego słowa — podać się nie da. I tu znajdziemy wytłumaczenie stanu rzeczy, który nie pozwala na jasne zrozumienie poglądów Norwida na szereg spraw i zagadnień z taką pasją przez niego poruszanych.

Zarzut ten pod adresem języka Norwida jest chyba najcięższy i w jawnej znajdzie się dysharmonii z życzeniem autora wypowiedzianym w jednym z ostatnich jego wierszy:

„Milo był od swojego czasu zrozumianym,
Przyjętym od epoki, stąd tak czytowanym,
Iż żaden odcień słowa nie tonie w papierze,
Lecz wszystkie drżą w powietrzu namiętnie i szczerze...“.

Celem języka literackiego jest oczywiście ożywianie wyrazów nowym życiem, wzbogacanie lub specjalizowanie ich treści. Pamiętamy, że język, a szczególnie język poezji, musi być „giętki” — warto jednak pamiętać i o tym, że nie samo „gięcie” jest celem języka.

Norwid — ekwilibrysta słowa, dla którego słowo było wprost fetyszem — niejednokrotnie zagubił, a może niejednokrotnie i zaćmił, tj. zaciemnił Norwida — poetę, Norwida — myśliciela. Zresztą ekwilibrystyka słowna i o samej myśli świadczy nienajlepiej.

Józef Kopczewski

Z GWARY WARMIŃSKIEJ I MAZURSKIEJ DLACZEGO GIETRZAŁD LEŻY MIĘDZY GÓRAMI

Opowiedział gospodarz ze wsi Gietrzwałd, pow. Olsztyn, zapisała H. Chocianowiczówna.

Teraz Gietrzwałd uotoczony je ze wszystkich stron górami. Dawny było inacze. Gietrzwałd leżał w dużej dolinie, a góry leżeli daleko. Ludzie byli bogate, bo ziemia dobrze rodziła, a z tego, że jam¹ dobrze szło, to sia zapsuli, mało robzili, tyło psili i z drugami² sia lichu uobchodzili. Potem przyszedł jeden pustelnik i ich napominał, co sia majo poprazić, bo jak sia nie popraziom, to te góry, co daleko były, sia zejdo i zasypsio ta równina i cała zieś. Oni na to nie słuchali tygo pustelnika. Sia wyśmiali, że góra dali iść nie może.

Krótko potem uobaczyli, co te góry sia zawdy dali zbliżajo i już blisko wsi doszły. Jak to zidzieli, to poszli do tego pustelnika, coby im doredził, z proźbom. Uon jam uodpowiadał, co sia majo poprawić i wszyscy wspólny kościół wybudować. A uod tego czasu wszyscy sia poprazili, nie gulali, nie psili i pobudowali kościół.

I te góry ustały, nie szły dali i teraz je muszo obrabziać³.

CZEMU GIETRZAŁD JEST WSIA A NIE MIASTEM

Opowiedział gospodarz ze wsi Gietrzwałd, pow. Olsztyn, zapisała A. Satkiewiczówna.

To sia miało tutaj dzioć, ale za pradziadów.

Za wsią była góra. Jak paśli bydło, to tam była taka dura⁴ i z niej czasami szedł dym. Raz przyszedł podróżnik, to mu powiadali o górze i durze i on powiedział, że tam jest złoto i uony go mogo wyjąć, tylko muszą wszyscy iść i ni mają ani gadać, ani sia śmiać przy robocie, bo kiedy bandą sia śmiać, to bogactwa nie dostaną. I mają zbzić kasta⁵, co to złoto tam

¹ im

² z drugimi, z innymi.

³ uprawiać na nich rolę.

⁴ dziura.

⁵ skrzynię.

pokładą i w konia nie mają tego zieść¹, tło w woły, a jek bando zieść, to też nikomu nie można sia śmiać ni godać, ni sia oglądać.

I uoni posłuchali go, poszli kopać i znaleźli złoto, było w tej górze i nakopali pełno ta kasta, co to na wozie mnieli. Zaprzangli potam sztyry woły białe, potam wszyscy ją zieźli do Gietrzwałdu, a za nimi to sza zawdy coś śniało. Słuchać buło śnichy i krzyki, ale uoni sia nie uogładali i wszystko szło dobrze, aż przyjechali do pszerszy chałupy we wsi, to uod razu przyjechał diabeł na koźle. Ale uon siedział uopak na koźle i trzymał koźła za nogon zambami, a z ty stary chałupy wyleciała kobzieta i zaczęła sia śniać i wołać do tych ludzi: — patrzta, tan diabeł jes głupsi, bo uopak na koźle rejtuje². — To sia jedni zaczęli śniać, a drudzy wołali, co majo być cicho. I wtanczas zrobziło sia ciamno, przyszła gajsto³ chmuro i zginuła kasta ze złotam.

Wtam ktoś krzyknął, że jekby sia nikt nie śniał, ani uogładał, Gietrzwałd uostałby mniastam, a tak daley uostanie ziosko.

Za to ludzie ty kobziecie, chtórna furnęła przez komin, skóra zbzili i chałupa spalili, ale złoto nie wróciło.

BAJKA O KSIĘDZU, KUCZERZE I KRÓLU

Opowiedział gospodarz ze wsi Brąswałd, pow. Olsztyn,
zapisala dr H. Kurkowska.

W Dywitach⁴ ksiądz mnał gwold bydła, to śniotana gospodyni stawiła za ołtorz. Był kuczer⁵ u niego Adam Fryszmut. Ten pozbodł, co tam śniotana jest i wijod trocha. Na drugi dzień gospodyni móziła: ale śniotana mi gchinie. Poszed on na zieczór znów za ółtorz, a na ółtarzu stojaly dwa śwante, Szymon i Juda. Ten wziuł pomazał lepy, co było znać, co śniotana jedli. Ksiundz z rana prziklunk i pacierz móził i patrzol na one śwęte, i uobaczył, co jedli. Po obiedzie wziol pas i one śwante wytłuk pasam i móził: ale wy mi już ziancy ne bandzieta jedli.

Na zieczorek sia uciszyło, to poszedł un kuczer i tych śwantych z ółtarza wziol i schował do sujsieka w slume. Ksiądz pacierz idzie mówić, świantych ni ma. Wijdzie strapsiony na dwór, a zobaczy go kuczer: czemu ksiundz taki strapsiony? Wybziłam pasam śwantych i mi uciekli. Kuczer mózi: to oni tam w Rożnozie⁶ siedzu w karczmie i psiju, niech mi jegomość da psiandziesiąt, to ich przyprowadza nazod. Na zieczór prziszed nazod, poszed do ksiandza, mózi: su, ale za mało mi jegomość pieniędzy dał, niech mi jegomość da jeszcze roz tyle, to ja jech na zieczór przyprowadza, ale ksiundz musi prandko spać isć, to sia go nie bandą boić. Poszedł do siujsieka, postawił na ółtorz i stojali na ółtarzu. Z rana ksiądz idzie do kościola, patrzy z radościo, bo Szymon i Juda stoją znów na ółtarzu, na swojam miescu. Potam z radości z tego wszystkiego dał sobie krziżik z napchisam: jo žija bez kłopotu. A w Olsztynie był królewski manöwer. Tam król wyjechał z ofjicerami swojami na spacer, patrzy

¹ wieść.

² jedzie.

³ gęsta.

⁴ Dywity — wieś położona 7 km na północ od Olsztyna. ⁵ woźnica.

⁶ Różnowo — wieś w pobliżu Dywit.

na ón napchis: ja król, a mam kłopot, tyś ksiundz a nie masz kłopotu. Dał ksiandza zawołać na dwór i ksiandzu móził: na niedziela poziesz mi kazanie, co bandą połowa ludzi w kościele, jedni sia śmiali, a jedni plakali i jek wisoko do nieba jest, i jek glymboko Dywiskie jezioro jest. Książdz, strapiony, wiszedł na dwór, a kuczer mózi: co jegomość taki strapiony? No bo mam poziedać na niedziela, jak wysoko do nieba i jak glambokie jezoro, ale najgorzy jeszcze mam poziedać kazanie na niedziela, co połowa ludzi bandą plakać, a to połowa sia śmiać. Kuczer mówi: jegomość, to mniejsze: do nieba to je jedna reza ¹, a jezioro, to jak kamień ciśnie w jezioro, w woda, to leci aż do gruntu, a kazanie, to niech sia jegomość nauczi dobre, to będą ludzie plakali, a co sia śmiać bandą, to ja bande zorgował ².

Postazili kazanica na środku, coby ludzie byli rozrachowane, tu połowa i tu połowa, a książdz przykruszył dobre kazanie dziewczakom i babam, a plakali. A tan wziół nożice i wirznuł ksiandzu cało goło. Ci, co patrzyli na niego, sia śmiali wszyscy, a ci z przodku plakali. Król plakał, bo też słuchał to kazanie. A po kazaniu spuścił książdz komża i stało sia ³.

Król dał ksiandzu ranka ⁴ i móził: słuszność, niech krzyż stoi. To szlus.

OBJAŚNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW

Zamieszkiwać — *związki składniowe.*

Czy poprawniejsza jest konstrukcja „zamieszkuje miasto, wieś, Białystok, czy też zamieszkuje w mieście, na wsi, w Białymstoku?

Niektórzy dopatrują się między tymi konstrukcjami pewnej różnicy znaczeniowej: *zamieszkać dom* znaczyłoby »zająć dom na mieszkanie«, »uczynić dom zamieszkanym«, *zamieszkać w domu* — »osiedlić się w nim, uczynić go miejscem swego zamieszkania«. Nie są to jednak odcienie wyrażenia od siebie odgraniczone. U Mickiewicza znajdujemy w „Panu Tadeuszu“ wiersz: „...I znowu dom zamieszkać na ojczystej roli“ (ks. II, w. 22). W mowie potocznej wyrażenie „zamieszkuje dom przy ulicy tej a tej“ mogłoby sprawiać wrażenie, że mówiący dodaje sobie ważności, dając jak gdyby do zrozumienia, że cały dom jest do jego dyspozycji. Ten sam odcień można odczuć — w stopniu nawet jeszcze większym — w wyrażeniu „zamieszkuje Białystok“ czy inne miasta.

Najprościej powiedzieć: „mieszkam w domu tym a tym, w mieście takim a takim“. W wiekach minionych czasownik *zamieszkiwać*, a w postaci jeszcze dawniejszej *zamieszkawać*, mógł się łączyć i z dopełniaczem, i z celownikiem, a ta składnia wiązała się z jego odmiennym znaczeniem. Gdy Rej pisze w „Postylli“: „Ty żadnemu nie zamieszkasz na wspomóżenie jego“, ma to znaczyć: »Ty nie będziesz zwlekał z okazaniem pomocy komukolwiek«. *Zamieszkać czego* znaczyło »zaniedbać«. Knapki w swym słowniku z roku 1641 rejestruje wyrażenie: *zamieszkać na obiad* = »spóźnić się na obiad« (z tym użyciem wiąże się znaczenie żywe do dziś w rosyjskim: *zamieszka'sa* — »zmarudził«). *Mieszkać* pierwotnie znaczyło »zwlekać«, a potem »przebywać«.

¹ droga, podróż. ² troszczył się. ³ skończyło się. ⁴ rękę.

Odmiana nazwisk typu Zaręba.

Jak się odmieniają i czy się odmieniają w ogóle nazwiska typu *Zaręba*, jeżeli się odnoszą do kobiet? Pytanie to nasuwa się w związku z tym, że obecnie daje się zauważyć tendencja do nieodmienności nazwisk żeńskich w niektórych wypadkach.

Istotnie, bywa tak, że znamieniem żeńskości formy jest jej nieodmienność: powiemy „od doktora Iksa“, jeżeli tym doktorem jest mężczyzna — „od doktor Iks“, jeżeli jest mowa o kobiecie. Tak samo „od mecenas Skiby“, gdy mecenasem jest mężczyzna, „od mecenas Skiby“, gdy mecenasem jest kobieta. Powszechne to nie jest, bo mając na myśli kobietę nie powiemy: „od adwokat“, na przykład „od adwokat Malinowskiej“ — tylko raczej „od adwokata Malinowskiej“. W tym wypadku forma żeńska nazwiska wskazuje, że mowa o kobiecie. Jeżeli nazwisko brzmi *Zaręba*, to wyrażenie „od doktora Zaręby“ każdy zrozumie jako odnoszące się do mężczyzny. Trudno by było jednak zasygnalizować kobiecość osoby, którą się ma na myśli, za pomocą nieodmienności obu składników tego wyrażenia, to znaczy trudno byłoby powiedzieć „od doktor Zaręba“. Brzmiałoby to dziwacznie. Zgodne z szerzącym się zwyczajem byłoby pozostawienie bez odmiany wyrazu *doktor*. Niemożliwe byłoby także połączenie „widzę Zaręba“. Gdyby nosicielka tego nazwiska zarzekała się przeciwko nazywaniu jej *Zarębiną* lub *Zarębianką*, to pozostawałaby tylko forma „widzę Zarębę“, tak samo: panią Zarębę, pannę Zarębę, obywatelkę Zarębę.

Schemat czy szemat?

Koło Samokształceniowe Ligi Kobiet przy Klinkierni Państwowej w Izbicy prosi o wyjaśnienie, czy się mówi *schemat* czy *szemat*. Do pytania dołączona jest uwaga, że ponieważ wyraz ten jest pochodzenia greckiego, więc musi się chyba wymawiać tak, jak się pisze. Tak też jest w istocie. Tę kwestię kiedyś omawiałem. W języku greckim wyraz *schema* wiążący się etymologicznie z czasownikiem *schein*, który znaczył »trzymać«, zaczynał się od grupy spółgłosek *sch*. Ta grupa spółgłoskowa na gruncie językowym polskim nie ulega żadnym zmianom: mamy takie wyrazy jak *schować*, *schodzić*, *schudnąć*, *schronić*, *schwytać*, toteż i w wyrazach pochodzenia obcego należy pierwotne *sch* utrzymać.

Mówimy *schizofrenia*, *scheda*, *schizma*. Wymawianie spółgłoski *sz* w takich razach jest refleksem wpływu niemieckiego: w pisowni niemieckiej połączenie liter *sch* oznacza głoskę *sz*. Częściej niż w innych wyrazach słyszy się *sz* w nazwie choroby wymawianej *iszjas*, chociaż i w tym wypadku należy wymawiać *sch*, a nie *sz*, a więc: *ischias*, bo i ta nazwa jest pochodzenia greckiego (*ischion* — kość kulszowa).

„Cofać się wstecz“.

Dość często słyszy się w rozmowie potocznej, w przemówieniach publicznych, a nawet widuje się w druku wyrażenie „cofać się wstecz“, mimo że znaczenie „wstecz“ tkwi w samym czasowniku *cofać się*, wobec tego dodawanie po tym czasowniku wyrazu *wstecz* jest wrzucaniem drugiego grzyba do barszczu, w którym jeden grzyb już jest. Ale dla wzmocnienia esencjonalności barszczu mówiący, a nawet piszący, dość często

ten drugi grzyb wrzucają. Kornel Ujejski w znanym wierszu pisał: „Ależ, o Panie, oni niewinni, choć naszą przyszłość cofnęli wstecz“ (dzięki czemu uzyskiwał męski rym, co wobec ograniczonej liczby wyrazów jednosylabowych w języku polskim jest dla poety rzeczą cenną).

W słowniku Karłowicza-Kryńskiego wyraz *cofaniec* jako termin z gry bilardowej objaśniony jest w sposób następujący: „rodzaj uderzenia bili, aby ta cofnęła się wstecz“. U autorów dawniejszych można znaleźć połączenie „cofnąć się nazad“, na przykład w Nowym Testamencie Seklucjana (rok 1551): „cofnęli się nazad i padli na ziemię“. Wyraz *cofać się* pochodzi z niemieckiego *zuufen*. Brückner w „Słowniku Etymologicznym“ przytacza także formę niemiecką *zurückzuufen*, której odpowiadałoby cytowane połączenie polskie *cofać się nazad*. Dzisiaj za formę poprawną uważać należy samo *cofać się* lub *cofać*, bez żadnych dodatkowych określeń mających precyzować kierunek czynności sprecyzowany już w samym znaczeniu czasownika.

„Oddawać skok“.

P. Gabriel Karski z Warszawy nadesłał wycięte z pisma codziennego sprawozdanie z otwarcia skoczni w Zakopanem (tekst tego sprawozdania umieszczony był w różnych pismach). Dowiadujemy się, że „Stanisław Marusarz oddał trzy pewne i stylowe skoki“ — i podobnie o innych skoczkach. Przyglądałem się kiedyś z bliska skokom Stanisława Marusarza z Krokwi. Był to piękny widok. Odnosiło się wrażenie, że ten człowiek w chwili lotu odpręża się, czuje się w swoim żywiole. Nie należy urągać pięknym czynom sportowym nazywając je takim wyrażeniem, jak *oddawać skok*. Jest to dalsza konsekwencja niefortunnego, jeszcze nie wplenionego *oddawania strzału*, którego punktem wyjścia jest wyrażenie niemieckie „einen Schuss abgeben“. Już lepiej byłoby mówić nawet *skoczyć skok* niż *oddać skok*. Przygodnie można powiedzieć *zrobić skok*, na przykład: „w tym miejscu trzeba zrobić skok“ (tak u Mickiewicza w bajce o lisie: „Skok robiąc wpadł w beczkę wkopaną“), a najwłaściwiej o skoku narciarskim: *wykonać skok*. Z czasownikiem *wykonać* łączy się znaczenie pewnej technicznej precyzji; nadaje się on zupełnie dobrze do używania w omawianym wyrażeniu zarówno w reportażach jak w swobodnej mowie. Oczywiście pozostaje zawsze i możliwość najprostsza: ten a ten skoczył tyle a tyle metrów.

Czerw — czerwie

Z dwóch form: *ten czerw* i *to czerwie* lepsza jest forma pierwsza. Używanie drugiej tłumaczy się prawdopodobnie tym, że ma ona dla niektórych wyraźniejsze znaczenie zbiorowe niż pierwsza. Jednak i forma *czerw* ma tradycyjnie to znaczenie.

W „Nauce o pasiekach“ Kąckiego wydanej w roku 1631 spotykamy takie właśnie użycie formy *czerw* w znaczeniu zbiorowym: „Pszczoły w lipcu najbardziej na miód, na czerw, z którego roje się mnożą, robią“. To samo w przykładzie, który z Birkowskiego cytuje Linde: „Rolę psuje mysz obżarta, czerw padnie na drzewa owocowe“. W tym zdaniu co prawda i wyraz *mysz* nie mający w ogóle znaczenia zbiorowego można zrozumieć jako odnoszący się do całego gatunku myszy, a więc zbiorowo: rze-

czownik w liczbie pojedynczej: „mysz obżarta“, jest tu użyty reprezentatywnie, w sposób trochę metaforyczny. Możliwa płynność granicy oddzielającej znaczenie jednostkowe od zbiorowego nie jest w każdym razie przeszkodą w używaniu formy *czerw* w znaczeniu zbiorowym. dopełniacz ma formę *czerwia*, końcówką jest *-a*, bo *czerw* należy do rzeczowników żywotnych, a nie zerwał tak bardzo ze znaczeniem jednostkowym, żeby się nadawała do użycia końcówka *-u* występująca w rzeczownikach o znaczeniu zbiorowym (jak na przykład *tłumu*, *lasu*).

O przekładach

Pewna korespondentka wysuwa postulat, aby została zorganizowana jakaś komisja, która by kontrolowała kwalifikacje osób podejmujących się pracy przekładowej i nie znających czasem dokładnie ani tego języka, z którego tłumaczą, ani co gorsza, języka polskiego. Nie można byłoby jednak tego zarzutu uogólniać. Ukazują się na rynku księgarskim i przekłady dobre, i bardzo dobre. W redakcjach rozmaitych wydawnictw pracują zespoły kontrolujące stylistyczną stronę przygotowywanych do druku książek. Czasem wynikają nawet na tym tle nieporozumienia między autorami a nie zawsze lubianymi przez nich adiustatorami, ale i te nieporozumienia są objawem świadczącym o obustronnych zainteresowaniach kwestiami języka i stylu. Historia języka polskiego już od dawna nie płynie równym korytem biernie i żywiołowo; coraz to ktoś do tej historii świadomie się wtrąca, nad czymś się zastanawia, coś kwestionuje, coś stara się dopasować do zmieniających się warunków i form życia, dążąc do tego, aby język możliwie najlepiej odpowiadał wymaganiom, które te warunki i te formy mu stawiają. Jako proces żywiołowy, rysuje się w tym ruchu proces wzrastania udziału świadomości mówiących w historii języka.

Jeżeli chodzi o przekłady, to w maju i czerwcu bieżącego roku odbył się cykl odczytów poświęconych związanym z przekładami zagadnieniom, zorganizowany przez PEN-Club.

Korespondentka miała do czynienia z pewnym przekładem, który charakteryzuje jako kopalnię bardzo osobliwych wyrażeń. Oto niektóre próbki. Tłumacz używa formy *gorąc* traktując ją czasem jako żeńską: „w duszę spłynęła gorąc pożądanja“, kiedy indziej jako męską. Czasownika *dostać* używa w zdaniu następującym: „Niezaśluga dostaniesz tu muskuły“, co ma znaczyć, że ktoś wyrobi sobie, będzie miał muskuły (dobrze jeszcze, dodajmy, że *muskuły*, a nie *muszkuły*). Zamiast *wygrzewać się na słońcu* pisze tłumacz *słóncować się*, zamiast *święteczny* — *świętałny*, zamiast *zgodnie* — *zgodliwie*. Niektóre zdania stylizuje dziwnie, na przykład: „Tu chodzi o Archera. Znowu gdzieś poszedł za szkołę“. (Co za wyrażenie „pójść za szkołę“? — dość określona treść wiąże się z analogicznie zbudowanym wyrażeniem, w którym mowa o stodole, ale takich efektów skojarzeniowych należy unikać). „Otworzył szafę. Poszła z niej mieszanina woni tytoniu, sajety i twidu.“ (Woń, która *poszła* z szafy, działa na czytelnika nieprzyjemnie). Jedna z bohaterów powieści witając się z kimś mówi: „Dobre popołudnie“, jak nie mówi nikt po polsku. Ktoś z bohaterów „wygląda wyższy“ a ktoś mówi do kogoś: „nie róbcie wielkiego entuzjazmu koło tego konia“, co świadczy nie tylko o nierozumieniu znaczenia wyrazu *entuzjazm* na gruncie polskim, ale o zupełnej nieporadności

stylistycznej tłumacza. Inwokacja: „Alina, pojedź ze mną! Będzie nam dobrze razem, Alina!” trochę śmieszny i razi użytą w niej formą mianownika „Alina” w funkcji wołacza. Można wprawdzie znaleźć analogiczne przykłady w zabytkach staropolskich (choćby „Bogurodzica-dziewica!”), ale to jeszcze nie rozstrzyga o wszystkich wypadkach dzisiejszego odczuwania wartości form.

Z innego tomu przekładu — pióra innego tłumacza — cytuje korespondentka próbki również dość charakterystyczne, na przykład: „Adelina leżała. Ręka jej klepała rytmicznie po plecach swego najmłodszego”. Tłumaczka — bo w tym wypadku przekładu dokonała kobieta — pisząc zacytowane zdanie już pisała o ręce, a jeszcze myślała o Adelinie i stąd efekt przynależności „najmłodszego” do ręki, a nie do Adeliny. Zresztą trochę komiczny efekt wywiera i „rytmiczne klepanie po plecach”.

Postaci czy postacie?

Jaka jest poprawna forma mianownika liczby mnogiej rzeczownika *postać*: *postaci* czy *postacie*? Formą starszą i historycznie uzasadnioną jest forma *postaci* z końcówką *-i* taką samą, jak w używanych wyłącznie formach *kości*, *sieci*. Obok takich form niektóre rzeczowniki żeńskie zakończone spółgłoską miękką mają w mianowniku liczby mnogiej tylko końcówkę *-e*: *osie*, *wsie* (choć do niedawna jeszcze i *wsi*). Rzeczownik *postać* jest w stadium wahania między dwoma typami. Sienkiewicz używał formy *postacie*, Reymont *postaci*. Do chwiejnych pod tym względem należy również rzeczownik *pięść*. Mówi się jeszcze raczej *pięści*, chociaż już Mickiewicz, co prawda może ze względu na rym, użył formy z końcówką *-e*, *pięście*: „Kiedyś mi wydarł osobiste szczęście, Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście”. Tej samej formy używa Broniewski: „Ich było tylko pięćdziesięciu, A myśmy zaciskali pięście”. Można przypuszczać, że formy z końcówką *-e* będą się szerzyć, i nie ma powodów przeciwdziałania temu. Stąd wynika wniosek niestety nie kategoriyczny, ale kompromisowy: historycznie poprawna jest forma *postaci*, formą szerzącą się i mogącą się wylegitymować licznymi analogiami jest forma *postacie*.

Mimo to: mimo tego

W podobnie niekategoriyczny sposób wypada odpowiedzieć na drugie pytanie korespondenta: czy się mówi *mimo to*, czy *mimo tego*? (Jest to pytanie dość często się powtarzające, pisałem o tym w „Rozmowach o języku“.) Nie wchodząc w szczegóły i cieniowanie znaczeń można przestać na stwierdzeniu, że *mimo* jako przyimek o znaczeniu przestrzennym rządzi stale dopełniaczem: mówi się *przeszedł mimo drzewa*, *mimo domu*; *mimo* jako przyimek o znaczeniu zbliżonym do znaczenia »choć» lub »bez względu na« rządzi dopełniaczem albo biernikiem. Konstrukcje wyłącznie biernikową mamy w wyrażeniu *mimo wszystko*. Ale można powiedzieć *mimo wszelkich trudności* i *mimo wszelkich trudności*. Teoretycznie mówiąc, byłoby lepiej, gdyby się dokonało ostrzejsze rozgraniczenie znaczeń i gdyby przyimek *mimo* w połączeniach, w których ma znaczyć »bez względu na«, rządził stale biernikiem — tak jak w znaczeniu przestrzennym rządzi stale dopełniaczem.

Witold Doroszewski

Od Redakcji

Wszelką korespondencję dotyczącą prenumeraty „Poradnika Językowego” jak również ewentualne reklamacje prosimy kierować tylko do P. P. K. „Ruch” Oddział w Warszawie ul. Srebrna Nr 12.

WYDAWCA: PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

REDAKCJA: WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 26/28,
ZAKŁAD JĘZYKA POLSKIEGO UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO
KOMITET REDAKCYJNY: PROF. DR WITOLD DOROSZEWSKI
(REDAKTOR NACZELNY), DOC. DR HALINA KONECZNA, DR STANISŁAW SKORUPKA, PROF. DR STANISŁAW SŁOŃSKI

ADRES ADMINISTRACJI:

P. P. K. „R U C H” — WARSZAWA, UL. SREBRNA 12. TEL.: 8-05-42

WARUNKI PRENUMERATY:

Przedpłata roczna z przesyłką pocztową	16.— zł
Cena pojedynczego zeszytu	1.80 zł
Konto P. K. O. Warszawa I-15814 („Poradnik Językowy“)	

„T E A T R”
nr 8-9-10 rok 1950
P O Ś W I Ę C O N Y
S T E F A N O W I J A R A C Z O W I

T R E Ś Ć:

1. Stanisław Dąbrowski: Jaracz
2. Stefan Jaracz: Z pamiętnika
3. Stefan Jaracz: Moja pierwsza rola
4. Stefan Jaracz: Praca aktora
5. Stefan Jaracz: Testament
6. Leon Schiller: Buntownik i marzyciel
7. Julian Tuwim: Akakij Akakjewicz
8. Maria Dąbrowska: Gdy wspominam Jaracza
9. Henryk Szletyński: Droga Stefana Jaracza
10. Teofil Trzeciński: Jaracza pierwszy rok aktorstwa
11. Irena Schillerowa: Stefan Jaracz o swojej sztuce
12. Maria Dulęba: Podteksty
13. Stanisław Witold Balicki: Jaracz, jakiego pamiętam
14. Stefan Straus: Zestawienie ról
15. Uroczystości ku uczczeniu pamięci Jaracza

W tekście 42 fotografie, drzeworyt i rysunki Tadeusza Kulisiewicza oraz rysunki Iwo Galla i Jerzego Zaruby.

Cena numeru potrójnego 8 zł.

Do nabycia w Państwowym Instytucie Wydawniczym
Warszawa, ul. Foksal 17.

Miesięcznik „Teatr” jest zatwierdzony przez Min. Oświaty nr VI
Oc-2622/49 z dnia 20 lutego 1950 r. jako czasopismo pożądane
w bibliotekach nauczycielskich.